Edmond Hamilton

Ludzie z Gwiazdy Porannej

(Men of the Morning Star)

`

Imaginative Tales, March 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

I

Nóż nadleciał z mgły za plecami Kerricka, tak więc nawet go nie zauważył, zanim nie furknął mu koło ucha i nie zaklekotał na ociekających wodą kamieniach ciągnącego się przed nim nabrzeża. Metalowe ostrze lśniło nieprzyjemnie w przyćmionym świetle pochodni z nasączonego olejem drewna, palącej się na rogu.

Działając czysto instynktownie, Kerrick pochylił się i niezgrabnie odskoczył w bok. Był trochę pijany i aż do tej chwili znajdował się w łagodnym, pokojowym nastroju, w którym wewnętrzna mgiełka doskonale równoważyła tę zewnętrzną i mógł zapomnieć jak dawno już nie widział słońca ani gwiazd, oraz nie oddychał czystym, zimnym powietrzem. Teraz tamte uczucia zastąpił strach, połączony z gwałtownym wstrząsem.

Ktoś próbował go zabić. I nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego.

Podbiegł do ściany magazynu, gdzie przyćmione światło było jeszcze ciemniejsze, a mgła kłębiła się wyjątkowo gęsto. Próbował dojrzeć kto był za nim na nabrzeżu, ale widział tylko mgłę, nadciągającą powolnymi falami znad nieruchomego morza. Trzy pochodnie, wskazujące miejsce gdzie znajdowała się tawerna, z której właśnie wyszedł, tworzyły złotą kulę we mgle, leciutko zabarwionej kolorem purpurowej wenusjańskiej nocy, w trakcie której chmury i morze, ziemia i powietrze nigdy nie były do końca ciemne, tak samo jak nigdy nie były jasne w ciągu dnia.

Nasłuchiwał uważnie, aż w końcu usłyszał delikatny, leciutki, ledwie słyszalny odgłos gołych stóp poruszających się w jego stronę, po omszałych kamieniach nawierzchni.

Kamienna ściana magazynu stanowiła podstawę, do której przymocowano płonącą pochodnię, wyznaczającą koniec nabrzeża i oświetlającą ogromny, mniej więcej antropomorficzny posąg boga, siedzącego w kącie falochronu i od wieków spoglądającego w morze. Kerrick był nieuzbrojony i na tyle trzeźwy, by wiedzieć, że trochę za bardzo szumiało mu w głowie, by mógł skutecznie walczyć. Zaczął uciekać w stronę rogu. Za nim rozpoczynała się droga prowadząca od miasta i morza, do siedziby Kompanii, położonej w odległości niecałej mili. Może nie da rady dostać się do jej budynków, ale przynajmniej powinien zyskać szansę na to by odskoczyć i schować się, aż trochę mu się przejaśni w głowie i chociaż będzie się w stanie bronić.

Stłumione odgłosy kroków zza pleców, przyśpieszyły i wkrótce zaczął słyszeć również szepczące głosy.

W przyćmionym blasku pochodni, jego ciasna czerwona tunika, jaśniała jak płomień. Kiedy przebiegał pod samą pochodnią, jej światło wydawało się równie jasne jak południowe słońce. Mięśnie na plecach mu zesztywniały, czekając na rzucone ostrze.

Nie nadleciało. Kerrick pomknął za róg, przepełniony ulgą.

Prosto na swojej drodze dostrzegł w półmroku złowrogo wyglądających dwóch mężczyzn.

Natychmiast zrozumiał, że to spotkanie nie zwiastuje ratunku. Ci ludzie obeszli go dookoła, aby odciąć mu drogę ucieczki, na wypadek gdyby uniknął tego pierwszego noża. W różnych miejscach musiała czekać na niego, aż wyjdzie z tawerny, cała gromada napastników. Ci dwaj przed nim byli Wenusjanami, wysokimi, białoskórymi ludźmi o bladych oczach i charakterystycznych włosach albinosów. Nosili krótkie, luźne ubrania, typowe dla niższych klas. W dłoniach trzymali noże.

Rzucili się na niego.

Kerrick ostro zawrócił przebiegł przez nabrzeże. Rzucony nóż ciągle leżał w miejscu, w którym upadł. Podniósł go szybko i skręcił, wycofując się w kąt nabrzeża, gdzie siedział bóg. Oparł się plecami o jego szerokie kamienne pośladki, wypolerowane do gładkości szkła przez tysiące pokoleń przechodzących rybaków, klepiących je na szczęście. Trzymał nóż przed sobą jak miecz i warknął na zbliżające się do niego w niebieskiej mgle postacie.

— Czego ode mnie chcecie? — zaczął się dopytywać swym łamanym wenusjańskim, z rozmówek.

Jeden z napastników odpowiedział mu na tyle wolno, że zdołał zrozumieć.

— Zabijemy cię i rzucimy twoje ciało przez bramami pałacu.

W jego głosie słychać było zimną, nieubłaganą nienawiść, która uderzyła Kerricka bardziej, niż sama groźba, chociaż ta również była dosyć nieprzyjemna.

— Ale dlaczego? — spytał ze zdumieniem. — Nie zrobiłem nic złego. Jestem technikiem-nurkiem…

— Jesteś *litharni* — oznajmił napastnik. — Kiedyś wszyscy *litharni* będą martwi, a *Sulvini* razem z nimi.

Litharni znaczyło mniej więcej tyle, co *ubierający się na czerwono*, a Sulvini stanowili miejscową klasę rządzącą. Kerrick zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się w środku czegoś znacznie poważniejszego, niż zwykłe morderstwo rabunkowe, czy nawet morderstwo dla zabawy.

Czerwona tunika stanowiła uniform Kompanii. Kompanii, czyli Jones & Lansing Sea-Mines, Inc. Parę wieków temu, na Ziemi, po zużyciu wszystkich dostępnych zasobów lądowych, ludzie zaczęli wydobywać z wody morskiej rozpuszczone w niej bogactwa o niesamowitej wartości. Pozyskiwano z niej nie tylko złoto i srebro, ale ważne zapasy uranu, miedzi, manganu i szeregu innych minerałów, mających fundamentalne znaczenie dla działania ogromnego przemysłu ziemskiego i utrzymania odpowiednich zasobów żywnościowych. Następnie, po rozwinięciu się lotów międzyplanetarnych, kiedy stwierdzono że morza wenusjańskie są nieskończenie bogatsze w surowce mineralne niż ziemskie, nieuniknione było że takie firmy jak Jones & Lansing ustawiły swe wielkie pompy, kadzie i frakcjonatory atomowe na zasnutych mgłami plażach oraz zaczęły wysysać nieskończone bogactwa tych ogromnych oceanów.

Działały one na podstawie bezpośredniego porozumienia z Sulvini, rządzącymi. Kerrick w swej niewinności sądził, że wszyscy byli zadowoleni z tego porozumienia. Tunika Kompanii, rzeczywiście była przeznaczona do odróżnienia jej pracowników od rozmaitych terrańskich szumowin, jakich

nożna znaleźć w każdym porcie i w ciągu tych paru tygodni, które Kerrick spędził tutaj, zorientował się, że stanowiła ona gwarancję najlepszego traktowania niemal wszędzie w mieście.

Zdaje się, że istnieli ludzie, którzy zupełnie nie myśleli o niej w ten sposób.

Zbliżali się do niego przez mgłę, plaskając gołymi stopami o mokre kamienie. Powietrze było ciężkie, przepełnione zapachem roślin i wody, dusiło płuca. Kerrick cały się spocił, a serce waliło mu jak młotem. Było ich pięciu. Wszyscy, poza jednym, mieli noże.

Plecy i boki chronił mu kąt ściany, ale nie dawało mu to zbyt wiele. Było ich tylu, że, mogli po prostu przygwoździć go do kamieni, a wtedy po kolei cięliby go nożami dla samej przyjemności. Miejsce, w którym się znajdował, było bardziej pułapką, niż dawało mu przewagę. Gdyby tylko zdołał się przez nich przebić, zostawić ich z tyłu, może udałoby mu się uciec…

Wziął głęboki oddech i zaszarżował prosto na tego nieuzbrojonego.

Tak jak Kerrick miał nadzieję, uchylił się on w bok przed długim ostrzem i wpadł na człowieka idącego obok, blokując jego rękę z bronią i tworząc chwilową wyrwę w szeregu nieprzyjaciół. Kerrick zanurkował w nią, zataczając swym nożem obszerne zamachowe cięcia. Wenusjanie bez trudu ich uniknęli. Pozwolili mu niemal się przedostać między sobą, a potem jeden z nich zahaczył od tyłu stopą o jego kostkę, powodując, że runął jak długi na pokryte błotem kamienie. Nóż wypadł mu z dłoni. No to koniec, pomyślał sobie, kiedy powietrze wyleciało mu ze ściśniętych płuc, a niebieska mgła wokół jego szumiącej głowy, zrobiła się jeszcze ciemniejsza. No to koniec, o Boże, co za paskudne miejsce do tego by umrzeć, i to nawet nie wiedząc dlaczego.

Gwałtownie wykręcił się w nagłym gniewie na plecy, z podkulonymi kolanami i rękoma ugiętymi, aby chronić twarz. Napastnicy już byli na nim. Kopnął do góry, obydwiema stopami i trafił jednego z nich w żołądek. Mężczyzna sapnął i poleciał do tyłu, ale pozostało jeszcze czterech. Kerrick zobaczył rękę z nożem, zmierzającym w stronę jego gardła. Złapał za nadgarstek, wykręcił go do góry i pociągnął. Napastnik poleciał do przodu, wytrącony z równowagi. Upadł na Kerricka, który zaczął się z nim siłować, cały czas myśląc rozpaczliwie. Mogę zabić co najmniej jednego z nich, żeby dotrzymał mi towarzystwa…

Twarde gołe stopy kopały go w bok głowy, w żebra i pachwinę. Jego uchwyt zaczął słabnąć. Poczuł, że mężczyzna stacza się z niego i między nim a ich nożami nie ma już żadnej osłony. Nie było możliwości dalszego odwlekania nieuniknionego końca.

Wtedy usłyszał czyjś głos.

Przemawiał on po wenusjańsku, płynnie i czysto, bez śladu obcego akcentu, ale Kerrick jakoś wiedział, że to głos Ziemianina. Mówił ze spokojnym autorytetem. Kerrick próbował zobaczyć go przez mgłę i oszołomienie bólem. Dostrzegł, że Wenusjanie cofnęli się trochę od niego.

Gorąco z nim dyskutowali, ale glos Ziemianina ciągle im powtarzał, słowa, które brzmiały mniej więcej tak: „To niewłaściwa droga”. Aż w końcu zaczęli się wahać, czy zabić Kerricka.

Kerrick z trudem podniósł się na czworaka, i wtedy dopiero, w świetle olejowo-drewnianej pochodni, zobaczył Ziemianina. Otaczała go niebieska mgła, tak że wyglądał raczej jak wisząca nad parą mocnych rąk surowa twarz, niż cały człowiek. Twarz była wybielona przez lata bez słońca, jak u tubylców, o słabej zniszczonej przez wiatr i wodę skórze. Miała na wpół geometryczną budowę, złożoną z silnych poziomych kości, z pionowymi płaszczyznami policzków, zapadającymi się lekko do środka i głęboko ocienionymi oczyma. Mężczyzna nie nosił kapelusza. Miał gęste, krótko obcięte włosy. Kiedyś były czarne, ale obecnie niemal całkowicie już posiwiały.

Kerrick przejechał wierzchem dłoni przez usta, aby otrzeć je z krwi i z mchu.

— Na miłość Boską — powiedział do Ziemianina, — proszę im powiedzieć, że nie wyrządziłem im żadnej krzywdy…

Ziemianin przerwał mu szorstko.

— Zamknij się.

Mówił dalej do Wenusjan, którzy ciągle próbowali z nim dyskutować, chociaż z widocznym szacunkiem. Większa część rozmowy była zbyt szybka, aby Kerrick był w stanie za nią nadążyć, nawet gdyby miał jasną głowę. Ziemianin wskazywał za siedzącego kamiennego boga, tam gdzie ciemna woda połyskiwała i migotała w purpurowym mroku. Wenusjanie również spoglądali w tę stronę. Potem zaczęli spoglądać ze zmieszaniem po sobie, a w końcu jeden z nich się uśmiechnął. Był to bardzo nieprzyjemny uśmiech, jak gdyby z zadowoleniem przyjął to, że ma zapomnieć o zabiciu Kerricka, tylko dlatego, że miano mu zrobić coś znacznie bardziej paskudnego. W końcu schowali noże do pochew i odeszli. Jeden z nich pomagał temu, którego kopnął Kerrick. Wenusjanin ciągle nie był w stanie się wyprostować.

Kerrick w końcu zdołał podnieść się na nogi. Spoglądał za nimi z mieszanymi uczuciami wściekłości i drżącej ulgi.

— Dziękuję — powiedział do Ziemianina. — Jeszcze sekunda i… Co u licha się z nimi stało? Dlaczego chcieli mnie zabić?

Ziemianin zmierzył go wzrokiem. Jego oczy były ciemne, bardzo ostre i bardzo życzliwe, a jednak widać w nich było pewien paradoksalny błysk bezwzględności. Spoglądał na Kerricka, trochę badawczo, jakby zarzucił na coś sieć i nie do końca był pewien, na co.

— Masz może ochotę na drinka? — spytał.

— Do diabła, pewnie że mam — odparł Kerrick. Odreagowanie topiło w nim wszystko od środka, jakby był z wosku. Ruszył w stronę złotej aureoli światła przed tawerną na nabrzeżu. Ziemianin chwycił go za rękę.

— Nie masz dosyć jak na jedną noc? Jak długo jesteś na Wenus?

— Dwanaście tygodni, w większości na Wyspie 6. To mój pierwszy prawdziwy urlop.

Ziemianin chrząknął.

— A czy w Kompanii nie powiedzieli ci, że jeśli chcesz szukać rozrywki, lepiej zrobić to w mieście?

— Zdaje się, że coś o tym wspominali. Ale chciałem zobaczyć…

— Życie tubylców z pierwszej ręki. Oczywiście.

— Posłuchaj, nie musisz traktować mnie tak pogardliwie — odparł Kerrick, ponownie wpadając w gniew. — Nie miałem zamiaru z nikogo się wyśmiewać. Jeśli już utknąłem tu na trzy długie lata, to przynajmniej chciałem wiedzieć…

— Chodźmy już lepiej na tego drinka — powiedział Ziemianin, przerywając mu. — Tędy.

Ruszył drogą prowadzącą od morza w stronę miasta. Kerrick poszedł za nim, ciągle za bardzo rozstrojony ostatnimi wydarzeniami, aby poczuć coś więcej, niż tylko leciutką urazę szorstkim zachowaniem nieznajomego. Poza tym, ten człowiek uratował mu życie, a on chciał pójść z nim na drinka, a przede wszystkim uzyskać jakieś wyjaśnienie zaistniałej sytuacji.

— Od jak dawna tutaj jesteś? — spytał.

— Od dwudziestu trzech lat.

Szumowina, pomyślał Kerrick. Renegat. A jednak nie wyglądał na kogoś takiego.

— Nazywam się Kerrick. George Kerrick. Jestem technikiem-nurkiem…

— W Kompanii. Tak. Ja nazywam się Thane. Jeśli kiedykolwiek miałem inne nazwisko, to już dawno je zapomniałem. Ja też jestem technikiem-nurkiem, w pewnym sensie. Biologiem morskim. Teraz skręć w prawo – tak, w prawo, w to przejście. To skrót.

Kerrick wślizgnął się w wąską alejkę, o szerokości nie więcej niż trzech stóp, między kamiennymi ogrodzeniami nieruchomości. Niemal wszystko na Wenus budowane było z kamieni, ponieważ inne materiały wypłukiwały się, gniły, albo rdzewiały w parnej wilgoci i ulewnych deszczach. Alejka była zupełnie ciemna i mocno w niej cuchnęło. Kerrick widział tylko jasną poświatę na jej odległym końcu. Pośpieszył w tamtą stronę i ucieszył się, gdy wyszedł na długie, wąskie podwórze, otoczone ze wszystkich stron rzędami balkonów i rozświetlone zarówno pochodniami wiszącymi koło niskiego tunelu wejściowego, naprzeciw wąskiej alejki, jak też światłami w oknach. Z mieszkań oraz płaskich, pełnych ludzi dachów, dochodził pomruk głosów i śmiechów. Wszechobecna mgła łagodnie otulała wszystko dokoła.

Thane poprowadził go do góry po drabiniastych stopniach z poręczą tak zniszczoną, że aż z dziurami w środku.

— Chciałeś zobaczyć, jak żyją tubylcy — powiedział. — Coś ci pokażę. To jest mój dom, kiedy przypływam z raf. Znam tych ludzi już od całego pokolenia. Uważam ich za swoją rodzinę – swoją drugą rodzinę. — Przerwał na chwilę. — Mam je dwie, rozumiesz.

Pewnie ma tubylczą żonę i jakieś półkrwi dzieci, na rafach, pomyślał sobie Kerrick i zdecydował, że to nie jego sprawa. Zastanawiał się tylko jak, nawet biolog morski – jeśli Thane nim naprawdę był – mógł przeżyć dwadzieścia trzy lata w tym zapomnianym przez Boga i tylko pobieżnie

zbadanym labiryncie raf, wodorostów i na wpół zanurzonych wysepek, który uniemożliwiał pływanie na płytkich oceanach wenusjańskich, czymkolwiek, poza małymi łódkami tubylców.

Thane skierował go na balkon, mniej więcej w połowie drogi do góry. W jego tylnej części zdrowo sobie spała para dzieciaków o sznurowatych włosach, zwiniętych jak szczeniaki na stosie miękkich pledów. Nad drzwiami wisiał na hakach dziwny rodzaj trójzęba, z okrągłymi gałkami zamiast zębów.

— Wejdź do środka — powiedział Thane i Kerrick schylił głowę przechodząc pod niskim łukiem drzwi.

Pokój wewnątrz był przestronny i czysty, w jednym kącie znajdował się podwyższony i nakryty od góry kominek. W pomieszczeniu stało parę niskich skrzyń, czerwone kamienne ściany zmiękczały nieco wyprawione skóry, zaś na podłodze leżały jasne, grubo tkane pledy. Wzdłuż jednej ze ścian rozciągała się podwyższona platforma, służąca wszystkim za dnia jako miejsce do siedzenia, w nocy zaś do spania. W tej chwili znajdowało się na niej czworo dorosłych ludzi i dziecko.

Kerrick ciągle jeszcze miał problem z oceną wieku Wenusjan, którym, jak się zdaje, nie tworzyło się aż tyle zmarszczek co ludziom z Ziemi. Nie wymagało jednak jakiegoś ogromnego geniuszu domyślenie się, że jedną parę stanowili dziadkowie dziecka, zaś drugą jego matka i ojciec. Starsza para wyglądała, jakby mieli przed sobą jeszcze wiele lat w dobrym zdrowiu. Mężczyźni grali w jakąś grę hazardową, popijając jasnobrązowy łagodny napój oszałamiający, wyglądający jak piwo bez bąbelków i smakujący jak nic innego pod słońcem. Kobiety zajmowały się czymś przy dziecku. Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi, a miny na ich twarzach zmieniły się szybko z radosnej, kiedy zobaczyli Thane'a, na dokładne jej przeciwieństwo na widok Kerricka i jego czerwonej tuniki.

Mężczyźni ostro się poderwali, upuszczając pionki do gry.

II

Thane oznajmił, mówiąc teraz powoli, tak że Kerrick był w stanie za nim nadążyć:

— Obiecałem temu człowiekowi drinka dla ciała i kilka słów rozmowy, dla duszy. Został zaatakowany w pobliżu Patrzącego Boga i niemal go zabito. Pragnie się dowiedzieć, dlaczego.

— Każdy w dzielnicy portowej mógłby mu to powiedzieć — stwierdził starszy z mężczyzn. — Dlaczego sprowadziłeś go tutaj?

— Nie jestem pewien — odparł Thane, lekko się uśmiechając. — Naszła mnie taka myśl. On jest nurkiem, sam jest człowiekiem morza, a był

litharni tylko przez dwanaście tygodni. Być może jest jeszcze dla niego nadzieja.

Obaj mężczyźni chrząknęli, jakby w to powątpiewając.

Kerrick ponuro oświadczył:

— Zazwyczaj za cholerę nie zostałbym w miejscu, gdzie mnie nie chcą, ale tym razem zostanę. Pięciu ludzi właśnie próbowało poderżnąć mi gardło. Chcę wiedzieć, co oni do mnie mieli, czy może to się wydarzyć ponownie i o co im u licha chodziło. A więc, nie uda się wam mnie obrazić.

— No cóż, w takim razie — powiedział niechętnie starszy z mężczyzn, — usiądź. Jesteś gościem Thane'a, a więc nie wyrzucę cię stąd na zbity pysk.

Odwrócił się, by powiedzieć coś do starszej z kobiet, która wstała z idealnie kamiennym obliczem i przyniosła gliniane kubki oraz dzbanek.

Thane przedstawił ich.

— To jest Donavel, którego trójząb wisi tam... — Wskazał na drugi zakończony gałkami trójząb, wiszący nad drzwiami od środka, i Kerrick od razu zrozumiał, że to jest symbol przywództwa. — ...oraz Verilan, jego syn. Oni są pasterzami.

— Pasterzami — powtórzył Kerrick. — Chodzi ci o gości w kajakach?

Teraz sobie przypomniał, gdzie widział takie trójzęby. Kiedy był na morzu, na Wyspie 6, kilku ludzi przepłynęło w pobliżu w niewielkich łódkach, które nawet po wywrotce nie nabierały wody. Byli gorączkowo zajęci pływaniem w pośpiechu i z wielkim krzykiem, za stadem wielkich rybo-podobnych stworzeń o szkarłatnych łuskach. Właśnie oni korzystali z takich trójzębów do poszturchiwania zwierząt i utrzymywania ich razem. Kerrickowi wyjaśniono, że byli to pasterze sprowadzający swoje stada z sezonowych wypasów na ławicach wodorostów. Kerrickowi wydało się to kiepską robotą, ale miał okazję jeść tę rybę i była całkiem niezła. A było całkiem jasne, że na planecie, gdzie największy ląd jest tylko nieco większy niż Nowa Zelandia, ludzie musieli patrzeć na oceany, jako na źródło żywności.

Thane potwierdził.

— Goście w kajakach, tak. Napij się, Kerrick, a Donavel powie ci, dlaczego *litharni* nie są tutaj specjalnie kochani.

Donavel nachylił się do przodu. Podobnie jak i jego syn, był szczupły i muskularny, miał bystre oczy i zdolne ręce.

— Jesteście szkodnikami — oznajmił Kerrickowi prosto z mostu. — Tak samo jak Sulvini, jak wielki przypływ słoneczny, który zawsze zabiera i nigdy nie oddaje z powrotem. Początkowo myśleliśmy, że wy, Ziemianie, jesteście dobrzy, będziecie początkiem nowego dnia, dla nas, którzy nie jesteśmy aż takimi ignorantami, jak mają na to nadzieję Sulvini. Kilku z nas trochę podróżowało, kilku ma filmy video i książki głosowe. Wiedza jest trudna do upilnowania. A więc, uwierzyliśmy. Że Sulvini zmienią trochę swoje postępowanie, że powstaną szkoły, centra medyczne, że będzie więcej kontaktów z zewnętrzem. Ale czy tak się stało? Ha! Sulvini upaśli się na płatnościach za dzierżawy górnicze, a Kompania upasła się na minerałach z naszych mórz. Zaś my...

— My — spokojnie dokończył Verilan, — pewnego dnia będziemy głodować. — I popatrzył na swoją żonę i dziecko.

Kerrick pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Ale dlaczego?

— Kompania rozprzestrzenia się, coraz bardziej. Mówisz, że jesteś nurkiem, znasz więc morze. Musisz wiedzieć, jak wasze instalacje zmieniają prądy, zabijają morską roślinność, zmieniają temperaturę wody, roznoszą zanieczyszczenia z waszych odpadów. Floty rybackie muszą wypływać dalej i dalej, żeby mieć jakiś połów. Nasze pasterstwo przybrzeżne zanika, a nasze zwierzęta umierają, ponieważ naruszona została równowaga chemiczna wody. Ludzie, którzy zbierają plony wodorostów, są spychani poza ustalone granice, a nasi władcy, Sulvini ciągle puszczają kolejne wyspy w dzierżawę Kompanii i wydają swe miliony na luksusy, podczas gdy my nic z tego nie mamy. Czy teraz już rozumiesz, dlaczego nienawidzimy *litharni*?

Czując się jednocześnie zażenowany, winny i urażony, Kerrick miał już coś odpowiedzieć, kiedy po raz pierwszy odezwała się starsza z kobiet, a w jej głosie słychać było ostrze długo duszonego w sobie gniewu.

— Wasza chciwość uderzy w was samych — wyrzuciła z siebie. — Już wkroczyliście na morza Grelvi. Sulvini zapomnieli już, gdzie wieki temu zostały wytyczone te granice, a Kompania o tym nie wie. Ale Grelvi nauczą was wszystkich!

— Mam nadzieję, że nie — stwierdził Thane, a jego twarz nagle zrobiła się bardzo poważna.

— Posłuchajcie — powiedział Kerrick. — Przykro mi, jeśli sprawy tak źle się dla was ułożyły. Nie wiedziałem, że górnictwo morskie jest aż tak bardzo dla was szkodliwe. Ale my – *litharni* – znajdujemy się w bardzo podobnej sytuacji co wy. Musimy pracować żeby żyć, i musimy polecieć tam, gdzie każą nam nasi szefowie. Nie mamy nic wspólnego z prowadzeniem Kompanii, czy określaniem jej polityki. Nie widzieliśmy na oczy ani Jonesa ani Lansinga, nigdy nie rozmawialiśmy nawet z Welkerem – to nasz kierownik z Kompanii – chyba że wzywał nas za coś na dywanik. A więc, nawet jeśli pozabijacie nas wszystkich, to zupełnie niczego nie zmieni. A tak przy okazji, kim są ci Grelvi?

— Powiedz mu, Thane — odezwał się nowy głos, od strony wejścia.

Kerrick drgnął zaskoczony i odwrócił się w tamtym kierunku, podobnie jak wszyscy pozostali. Głos był kobiecy, brzmiała w nim pewność siebie, jednak Kerrick zobaczył tylko dosyć wysoką postać, opatuloną od stóp do głów w gruby płaszcz z szerokich, żółtych liści wodorostów, połatany i powiązany przy pomocy łodyg, na podobieństwo strzechy, by chronić przed deszczem.

— Lella! — zawołał Thane i zerwał się, by do niej podejść. Wenusjanie również wstali, uśmiechnięci, zachowując jednak znacznie większą nieśmiałość i szacunek niż Thane, który pochwycił białą dłoń wyłaniającą się spod płaszcza i gorąco ją uścisnął.

Osoba w środku płaszcza powiedziała:

— Słyszałam, że wróciłeś, Thane. Wyrwałam się zaraz, jak tylko mi się udało. Nie spodziewałam się jednak, że spotkam tutaj *litharni*.

Thane spojrzał na Kerricka, który stał w milczeniu, obserwując.

— To pewien eksperyment — wyjaśnił Thane. — Jeszcze nie jestem pewien, czym się skończy.

— Wszystko w porządku — odparła Lella. — Chciałabym z nim porozmawiać

Zaszeleściła strzechowatym płaszczem i Thane zdjął go z niej.

Kerrick ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

Była to kobieta Sulvini, bardzo młoda, nieomal dziewczyna, ale jej witalność i uroda, które objawiły się tak nagle i niespodziewanie, były uderzające. Jej skóra miała biały perlisty połysk, a ciało pod obcisłym chitonem z jakiegoś materiału w mglistym kolorze, było niemal doskonałe. Kobiety pasterzy wiązały długie, blade włosy w luźny węzeł i były dosyć ładne, ze swymi wyrazistymi rysami twarzy oraz zielonymi jak morze oczyma. Oczy Lelli miały kolor ametystu, zaś jej włosy zostały ufarbowane – zgodnie ze zwyczajami kobiet Sulvini – tak by do nich pasować. Krótko obcięte, spływały wokół jej głowy w fantazyjnych pierzastych lokach.

Kerrick próbował sobie przypomnieć właściwą formę wenusjańskiego powitania wysoko urodzonej damy, ale jedyne co był w stanie zrobić, to tylko coś niezdarnie wyjąkać.

Lella roześmiała się.

— Wydajesz się zachowywać niemal jak człowiek. Od jak dawna jesteś *litharni*?

— Dopiero od dwunastu tygodni — odparł Kerrick i z jakiegoś powodu w wypowiedzianych przez niego słowach słychać było ton przeprosin za to, że trwało to aż tak długo.

Thane przewiesił płaszcz Lelli przez jedną ze skrzyń i wyszedł z pokoju na balkon. Kerrick słyszał jak z kimś rozmawia – prawdopodobnie, pomyślał Kerrick ze służącym Lelli. Nie mogłaby przecież przyjść sama w nocy, do dzielnicy portowej.

Leila usiadła na platformie, gdzie Donavel i pozostali, potraktowali ją praktycznie jak królową. Mówiła do nich jak do starych przyjaciół i podziwiała dziecko. Kerrick przestępował z nogi na nogę, próbując się nie gapić. Oczywiście, widział już kobiety Sulvini chodzące po mieście, nigdy jednak z tak bliska, a i niewiele z nich wyglądało tak jak ona.

Thane wrócił do środka, wyglądając na zatroskanego.

— Harn powiedział mi, że wydaje mu się, iż ktoś za wami szedł.

— Harn jest gorszy od starej kwoki i widzi zagrożenie w każdym cieniu — stwierdziła Lella, machając ręką z afektowanym lekceważeniem.

— Zawsze taka sama — powiedział Thane i zaczął rozmawiać z Verilanem, który wsadził za pas długi nóż i wyszedł na dwór.

— Są pewni ludzie, którzy nie aprobują mojej rewolucyjnej działalności — wyjaśniła Lella Kerrickowi. — Chętnie by mnie na niej przyłapali, tak bym mogła zgodnie z prawem zostać zamknięta pod kluczem i wydana za mąż. — Wykrzywiła się w grymasie głębokiego niesmaku i miała właśnie

powiedzieć cos więcej, kiedy Thane powstrzymał ją, kręcąc przecząco głową.

Lella uśmiechnęła się.

— Thane, przecież ten młody człowiek ma takie uczciwe oczy. Mogłabym mu zaufać – och, już dobrze, oczywiście masz rację. — Jej twarz zrobiła się poważna. — Porozmawiajmy lepiej o Grelvi. Wiem, że tylko jakiś ogromny kryzys mógł ściągnąć cię z raf o tej porze roku.

Thane zwrócił się do Kerricka:

— Mówisz, że większość z tych dwunastu tygodni tutaj, spędziłeś na Wyspie 6?

— Zgadza się. Oczywiście, to stara instalacja i nurkowanie tam ma charakter rutynowy. Był to po prostu okres adaptacyjny. Chyba robią tak samo ze wszystkimi nowymi nurkami – łączą ich w zespoły z weteranami, w jakiejś starej instalacji, tak żeby ich nauczyć, na co powinni uważać.

— Czy słyszałeś coś na temat Wyspy 10?

— Trochę. Ma być najnowsza i najdalej położona. Wydaje mi się, że nawet nie zaczęli jeszcze jej budowy.

— I nigdy nie słyszałeś nic o Grelvi?

— Nie.

— No to, usłyszysz. Wyspa 10 leży na ich granicy.

Kerrick zmarszczył brwi, próbując odszukać w pamięci to co wiedział na temat wenusjańskiej geografii.

— Nie przypominam sobie, by jakakolwiek mapa pokazywała na tym obszarze coś więcej niż mnóstwo raf, pływających wodorostów i co najwyżej niewielkie skaliste wysepki, takie jak Wyspa 10. Czy jest tam gdzieś jakaś duża wyspa, którą przegapiłem?

— Nie. Nie ma tam żadnej dużej wyspy. Na obszarze tysięcy mil nie ma żadnego lądu, wartego nadania mu nazwy. Kraj Grelvi ma inny charakter.

Na twarzy Thane'a pojawiło się skupienie i powaga. W jakiś sposób zdawała się ona przekazywać bardzo konkretną groźbę.

— To bardzo spokojny lud. Przez stulecia nie musieli prowadzić wojen, od czasu ustanowienia granic. Nie kontaktują się z mieszkańcami lądów i wszyscy już zdążyli o nich niemal zapomnieć…

— Nie wszyscy — przerwała mu Lella. — Donavel nie zapomniał. Tak samo rybacy, czy farmerzy wodorostów. Zapomnieli tylko Sulvini.

— Chcecie powiedzieć, że Sulvini przekazują Kompanii w dzierżawę miejsca, do których tak naprawdę nie mają praw? — spytał Kerrick.

— W przypadku Wyspy 10 — odparł Thane, — tak.

Kerrick oznajmił powoli:

— To może spowodować strasznie dużo kłopotów, i to wszystkim.

Niemal się zatoczył na myśl o tym, jak wiele kłopotów mogłoby to wywołać.

— A Wyspa 10 to tylko pierwszy krok — powiedziała Lella. W jej głosie zabrzmiały gorzkie tony. Zwróciła swe przepiękne ametystowe oczy na Kerricka i mówiła dalej, z naciskiem: — Chcę ci powiedzieć, *litharni*, że nie wszyscy z mojej klasy są źli, że nie wszyscy z nas są głupcami, że

niektórym z nas nie podoba się to, co zrobiono naszemu ludowi. Niestety, jest nas zbyt mało, by pokonać partię, która jest przy władzy…

— Bez pomocy — wymruczał pod nosem Donavel, a Lella spojrzała na niego szybko z niepokojem.

— Ćśśś — uciszyła go. — Miałam właśnie powiedzieć „w głosowaniu", a już szczególnie póki opłaty za koncesje górnicze za wydobycie morskich surowców mineralnych, kupują tak wielu ludziom pałace i sznury klejnotów. A w takim razie, sprawy muszą się pogorszyć, zanim pójdą lepiej. Być może twoi ukochani Grelvi, Thane, będą na to właściwą odpowiedzią, jeśli nie z powodu Wyspy 10, to Wyspy 11 i Wyspy 12… O, tak. Welker już omawiał warunki z Prawodawcą.

„Prawodawca" był to tytuł miejscowego marionetkowego władcy.

— Ale — zaprotestował Kerrick, — jeśli to wszystko jest prawdą, to musicie tylko powiedzieć o tym Welkerowi – oczywiście, musielibyście przekazać mu także jakieś dowody, które jak sobie wyobrażam, macie, albo jesteście w stanie zdobyć…

— Przekazałem Welkerowi dowody już rok temu — oznajmił spokojnie Thane. — Odpowiedział mi, żebym wracał na swoje rafy do moich niesmacznych związków i oszczędził mu dalszych zwariowanych interwencji.

Zastanawiając się nad tym, czy Walker mógł po prostu nie wiedzieć o czym mówił, Kerrick zapytał:

— A nie mogłeś wysłać wiadomości do samych wielkich szefów na Ziemi? Z pewnością przynajmniej zbadaliby tę sprawę.

— Naprawdę? Nawet biorąc pod uwagę, pieniądze jakie się z tym wiążą? Zdziwiłbym się. Poza tym, Prawodawca osobiście czyta i cenzuruje wszystkie wiadomości wysyłane z miasta poza planetę. Nie wydaje mi się, także, żeby Welker pozwolił mi skorzystać z radia Kompanii.

Z nagłym potokiem słów, które zaskoczyły Kerricka swoją gwałtownością, Thane mówił dalej:

— Być może powodem, dla którego sprowadziłem cię tutaj, jest właśnie próba przekazania tych informacji komuś z Kompanii, tak by, gdyby mnie coś się stało, ciągle była jakaś szansa ujawnienia faktów komuś, kto ich wysłucha.

— Obawiasz się, że coś ci się może stać?

— Nie byłoby to dla mnie specjalną niespodzianką. A więc, dobrze zapamiętaj tę noc.

— Na pewno jej nie zapomnę — obiecał Kerrick i popatrzył na Lellę.

Nagle na balkonie rozległ się krzyk wystraszonego dziecka i odgłosy bezładnej ucieczki.

Natychmiast Thane i Donavel skoczyli do drzwi, spóźniając się o dwa kroki za matką dzieci. Kerrick zawahał się przez sekundę. Lella zesztywniała tam gdzie siedziała i ze wstrząsem dostrzegł wyraz prawdziwego strachu w jej oczach.

Pobiegł za Thanem i Donavelem na balkon.

Nieomal się zderzył z muskularnym obcym, który właśnie próbował dostać się do środka. Thane wyjaśnił:

— To jest Harn – zostanie z Lellą.

Kobieta z popielato-białą twarzą wepchnęła do środka dwa szlochające maluchy. Verilan był już w połowie drogi na dach. Pozostali podążali za nim, wspinając się po zniszczonych kamiennych stopniach, mijając balkony wypełnione ciekawskimi, wyciągniętymi głowami. Słychać było gwar rozemocjonowanych głosów. Thane powiedział mu przez ramię:

— Jakiś człowiek zakradł się z dachu za plecami Harna i wszedł na balkon przez zewnętrzną arkadę. — Musiało to oznaczać, że prześlizgnął się on przez występ balkonu piętro wyżej, mrożący krew w żyłach wyczyn, biorąc pod uwagę wysokość oraz kamienie na dole. — Verilan obserwował podwórze z miejsca położonego niżej. Gdyby ten człowiek nie pobudził dzieci, moglibyśmy w ogóle nawet nie wiedzieć, że tam ktoś był.

A więc, ktoś śledził Lellę. Kerrick poczuł gniew. Sam nie wiedział, dlaczego. To nie była jego sprawa…

Ale ona wyglądała na taką wystraszoną.

Weszli na dach. Był szeroki i płaski jak boisko, pokrywał kilka budynków zbudowanych ściana w ścianę. Znajdowały się na nim kanały do odprowadzania wody oraz kilku głupio wyglądających bożków, umieszczonych na rogach, oraz co jakiś wzdłuż brzegów, wszędzie tam, gdzie właściciele lub lokatorzy poczuli pobożną potrzebę, aby je ustawić. Dach był pełen ludzi, obserwujących wszystko z radosnym podnieceniem i spierających się głośno o to, co też dokładnie widzieli i gdzie mógł zniknąć obcy. Donavel wraz z synem szybko przebiegli między nimi, przyglądając się im dokładnie w półmroku i pytając o imiona.

Na południowym niebie rozbłysła błyskawica i zerwał się wiatr, przetaczający nad dachami ciemne tumany mgły.

Wrócił Donavel.

— To wszystko miejscowi. Ich zeznania się różnią, a każdy zaklina się, że to on ma rację. To był Wenusjanin w ciemnej tunice i przebiegł przez dach. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Jedyne co możemy zrobić, to rozejrzeć się z dachu po okolicy.

Thane skinął głową.

— Ja pójdę tędy. — Popatrzył na Kerricka. — Może lepiej wróć na dół?

— Nie — odparł Kerrick. — Zostanę z wami.

— Jak chcesz. Może spróbuj od strony północnej. Niedługo zacznie się burza. Jeśli nie znajdziemy naszego człowieka przed nią, ucieknie nam na dobre.

Rozproszyli się w różnych kierunkach. Kerrick biegł po wysmaganych wiatrem kamieniach dachu, czując z niepokojem, że dzisiejsza noc nie należała do najbardziej szczęśliwych w jego życiu. Niemal żałował, że Thane nie zostawił go na nabrzeżu. Potem pomyślał, że jeśli te informacje o chciwych Sulvini, wypuszczających w dzierżawę wyspy należące do innych ludów, były prawdziwe, to wszyscy ludzie Kompanii mieli kłopoty i lepiej było, że o tym wie.

A Welker – Jonathan C. Welker, Wielka Kamienna Twarz we wspaniałym biurze – czy on też w tym siedział? Thane tak twierdził. Nawet

sugerował, że Welker mógłby się posunąć do zabicia go, żeby zamknąć mu usta na temat zewnętrznych wysp.

Oczywiście, że Thane mógł być tylko nieodpowiedzialnym szaleńcem, zaś Lella dobrym dzieciakiem, wmieszanym w to wszystko z jakichś iluzorycznych powodów. Ale…

Kerrick miał przemożne uczucie, że dobrze byłoby porozmawiać z tym szpiegiem – któremu udało się podejrzeć całą scenę, razem z nim jako jej częścią, i z pewnością złoży na ten temat odpowiedni raport – i dowiedzieć się dla kogo on pracuje i dlaczego.

Po drodze przyszło mu do głowy, że przecież ciągle dokładnie nie wiedział kim, czy też czym byli ci Grelvi.

Wiatr robił się coraz silniejszy, wiejąc potężnymi porywami. Mgła porwała się, skłębiła, a następnie została gdzieś zepchnięta, i nagle powietrze nad morzem, portem oraz z całym miastem oczyściło się. W oddali nad ciemną wodą zatańczyła błyskawica, rozjaśniając niebo. Bezładną masę budynków, której ten był częścią otaczały niemal ze wszystkich stron zakręty plaż oraz nisko położone tereny – zalewane regularnie przez pływy słoneczne – aż do miejsca w którym grunt się wznosił, a na położonych na zboczach wzgórz terasach widać było wille Sulvini, porozrzucane między ukwieconymi drzewami. Ponad wszystkim, na samym szczycie wzgórza, wznosiła się, jak pomnik złych czasów, starożytna twierdza Prawodawców, ze swymi smukłymi wieżami, zbudowanymi z czarnego kamienia. Na prawo, jakąś milę wzdłuż brzegu, na wystającym półwyspie, Kerrick mógł dostrzec w świetle błyskawicy płaskie, białe, plastikoidowe budynki oraz górującą nad nimi, monstrualną siedzibę Kompanii.

Nadeszło pierwsze uderzenie deszczu i w ciągu kilku sekund lokatorzy zniknęli z dachu.

Kerrick słyszał jak śmieją się i rozmawiają, schodząc po stopniach. Wątpił, czy obcy mógł się kryć między nimi. Z pewnością ktoś by go zauważył. Albo uciekł już wcześniej, albo ukrywał się ciągle gdzieś na dachach.

Wiatr i deszcz runęły na miasto i cała okolica ponownie zniknęła za zasłoną. Błyskawice były olbrzymie, gromy ogłuszające. Kerrick musiał przykucnąć niemal na czworaka, żeby nie zdmuchnęło go z dachu. Ulewa mocno utrudniała oddychanie i niemal uniemożliwiała widzenie.

Niedaleko od niego, wzdłuż brzegu dachu stał rząd kamiennych bożków. Co kilka chwil pojawiały się one w świetle błyskawic, na mgnienie oka, jako ciemne kształty w purpurowym blasku.

Wyjątkowo jasny rozbłysk ukazał jednego z mniejszych bożków, jak szybko powstaje i usiłuje uciec.

III

Kerrick dopadł uciekającego człowieka, zanim tamten zdążył pokonać trzy kroki. Upadli razem na kamienie dachu, przetaczając się po nich w kałużach wody o głębokości mniej więcej cala, która zdążyła już się nagromadzić podczas deszczu. Kolejny rozbłysk pozwolił mu zobaczyć twarz Wenusjanina, bladą i przerażoną. Była to brzydka twarz, Kerrick nie chciałby jej oglądać u żadnej osoby, z którą łączyłyby go jakieś więzi osobiste. Odchylił się do tyłu i zadał w nią dobrze wymierzony, mocny cios pięścią.

To nie wystarczyło. Nawet nie, prawie wystarczyło. Mężczyzna był mocny jak tygrys i ewidentnie nie był to pierwszy raz w jego życiu, kiedy musiał walczyć. Sięgnął do pasa po charakterystyczny dla Wenusjan długi nóż. Kerrick ponownie walnął go w twarz i udało mu się chwycić za nóż i odrzucić go od nich. Potem spadł na niego grad uderzeń pięściami, kolanami, stopami i łokciami.

Mężczyzna gwałtownie starał się zrzucić go z siebie i uciec. Kerrick wczepił się w niego. W pewnym sensie cieszył się tym wszystkim. Nóż nie był jego bronią, ale w razie potrzeby zawsze mu dobrze szło w walce na pięści i miał w sobie ogromne pokłady urazy do wypalenia.

Tarzali się, okładali się i uderzali, pośród potwornej burzy i ulewy, zaś rury odprowadzające wodę huczały jak mała Niagara. Ciało obcego zrobiło się wilgotne i śliskie, trudnie do utrzymania w uchwycie. Dwukrotnie niemal mu się wyrwał i dwukrotnie Kerrick go powstrzymał, za drugim razem celnym kopnięciem w żebra, które wycisnęło powietrze z płuc obcego, na tak długo by Kerrickowi udało się ponownie wdrapać na niego i mocno chwycić go za szyję.

— Kto cię przysłał? — zawołał, próbując przekrzyczeć ryk burzy. Uderzał głową Wenusjanina w kamiennych dach, unosząc ją w górę i opuszczając w rozpryskach wody. — Czego chciałeś się dowiedzieć?

Człowiek wykręcał się mu pod kolanami, próbując wyrwać się i uciec. W świetle błyskawic jego oczy i obnażone zęby lśniły jak u zwierzęcia. Ciężko sapał, ale nic nie powiedział.

Kerrick zacisnął mocniej dłonie na gardle przeciwnika.

— Odpowiadaj!

Mężczyzna wyglądał jakby się dusił w uchwycie Kerricka i zalewającej mu usta i nos wodzie. Wykonywał gorączkowe gesty. Kerrick cały czas go przyciskał. Nie było śladu Thane'a, ani innych. Albo ciągle przeszukiwali swoje obszary dachów, albo schowali się przed burzą, jak rozsądni ludzie, przerywając z jej powodu poszukiwania, jako beznadziejne.

Wenusjanin wysapał:

— To są… prywatne kwestie, *litharni*. Nie twoja sprawa.

— Teraz już jest moja. Kto cię przysłał?

— Prawodawca.

Kerrick roześmiał się.

— Spróbuj jeszcze raz.

Mężczyzna wydawał się być naprawdę zły.

— Jesteś głupcem, *litharni*. Sam się prosisz o nieszczęście. Prawodawca jest ojcem Lelli.

To poderwało Kerricka na nogi.

— Prawodawca? — powtórzył. — Ojcem Lelli?

Wszystkie sprawy nagle objawiły mu się z nowej i nawet jeszcze mniej zachęcającej perspektywy.

Zaś Wenusjanin roześmiał się bezdźwięcznie, podczas gdy jego dłonie rozcierały bolące gardło.

— Ojcem Lelli — potwierdził. — I nie za bardzo pochwala jej dobór przyjaciół. Biedny *litharni*!

Jego dłoń śmignęła nagle pod tunikę na piersi i wyskoczyła z podłużnym bezkształtnym przedmiotem, który Kerrick ledwie dostrzegł kątem oka, zanim nie chlasnął go przez głowę z taką siłą, że wydawało mu się jakby uderzył go piorun. W następnej chwili poczuł, że odrzuciło go do tyłu. Nic nie widząc, próbował podnieść się i gonić Wenusjanina, ale kiedy odzyskał wzrok mężczyzna znajdował się już poza jego zasięgiem, uciekając jakby na skrzydłach wiatru.

Blask następnej błyskawicy rozjaśnił tylko pusty dach.

Kerrick powoli się odwrócił i odszedł, trzymając się za głowę i zastanawiając czym u licha tamten go walnął.

Thane wraz pozostałymi podeszli do niego z pustymi rękoma, przyglądając mu się badawczo. W kilku słowach wyjaśnił co się wydarzyło, podczas gdy oni stali z wyciągniętymi w jego stronę głowami, w wodzie, która wezbrała już powyżej kostek. Burza jeszcze się nasiliła. Potem ruszyli w dół po stopniach, do bezpiecznego schronienia mieszkania.

Lella nadal czekała na nich w środku. Kerrick stanął przed nią.

— Czy Prawodawca jest twoim ojcem?

— Tak — odparła. — Jest.

— To wszystko jest po prostu wspaniałe — kwaśno oznajmił Kerrick i popatrzył na Thene’a. — Dziękuję bardzo za to, że mnie tutaj przyprowadziłeś. Może lepiej od razu trzeba było pozwolić tym ludziom aby mnie zarżnęli.

— Mniejsza o to — ponuro stwierdził Thane. — Opowiedz mi dokładnie co się stało.

Kerrick zrelacjonował mu wszystko, aż do samego kiepskiego końca.

— Nawet nie zauważyłem, co to było za cholerstwo — zakończył, — tak szybko to wyciągnął i przywalił mi w głowę. A potem uciekł.

Thane chrząknął, marszcząc brwi. Sięgnął ręką pod tunikę – luźną, wenusjańskiego typu – i wyciągnął plecioną metaliczną linkę o długości mniej więcej dwu stóp, bardzo mocną i elastyczną, z dwoma bryłkami ołowiu, czy czegoś równie ciężkiego, na każdym z końców.

Kerrick natychmiast to rozpoznał:

— Tak, to było to.

— I mówił ci, że to Prawodawca kazał mu śledzić Lellę?
— Tak.
— Kłamał — powiedział Thane i machnął linką z ciężarkiem, owijając ją wokół drugiej dłoni.
— Skąd wiesz?
Wyjaśniła to Lella.
— To broń dusicieli. Thane ma swoje własne powody, by coś takiego nosić, ale pośród moich rodaków generalnie używają jej tylko przestępcy. Prawdą jest, że mój ojciec i ja jesteśmy na noże. Ale ani on, ani żaden z Sulvini nie wynająłby przestępcy, żeby ten szpiegował którąś z jego kobiet.
— Tak, to prawda — potwierdził Donavel, a wszyscy pozostali skinęli głowami.
— No dobrze — powiedział Kerrick. — A więc, kto go przysłał?
Thane popatrzył z niepokojem na Lellę.
— Nie wiemy.
— Ale możemy snuć inteligentne domysły, nieprawdaż Thane? — stwierdziła dziewczyna, a jej twarz zapłonęła gniewem. — Musimy o tym powiedzieć *litharni* – Kerrickowi? Tak, Kerrickowi. To byłoby nie fair, nie ostrzec go.
Zwróciła się bezpośrednio do Kerricka.
— Twój pan Welker chciał mnie kupić od mojego ojca.
Z jakichś trudnych do wyjaśnienia powodów, rozzłościło to Kerricka. Być może dlatego, że nigdy specjalnie nie lubił Welkera. Z konieczności kontakty między nimi nie były częste i dalekie od jakiejś bliskości, ale ten człowiek wydawał mu się zimny jak ryba i nie był popularny wśród pracowników. Albo może powodem było to, że ktoś taki jak Lella nie powinien być kupowany, jak zwierzę, czy jakaś rzecz.
Powiedział:
— Myślicie więc, że ten szpieg pracował dla Welkera?
— Jesteś u nas dopiero od dwunastu tygodni — wyjaśniła Lella. — W związku z tym, nasze zwyczaje mogą ci się wydawać bardzo dziwne. Jestem Sulvini, a więc nikt nie może zmusić mnie do małżeństwa wbrew mojej woli – chyba że zostanę przyłapana na jakiejś zbrodni przeciwko państwu lub osobie innego Sulvini. Wtedy stracę wszystkie swoje prawa osobiste i moje losy zależeć będą tylko od woli Prawodawcy.
— Rozumiem — odparł Kerrick. — Czyli Walker zaplanował sobie, że jeśli uda mu się udowodnić ci udział w czymś w rodzaju spisku, to w ten sposób będzie mógł cię zdobyć.
Kerrick odkrył, że nienawidzi pana Welkera, bardzo głęboko.
Thane rozmawiał o czymś z ożywieniem z Donavelem i pozostałymi. W końcu zwrócił się do Kerricka:
— Lepiej będzie, jeśli teraz już sobie pójdziesz. Jeżeli będą cię wypytywać o wydarzenia dzisiejszej nocy, powiedz iż przyprowadziłem cię tutaj po tej aferze na nabrzeżu, tylko po to żeby upewnić się, że nic ci się nie stało – co generalnie jest prawdą – a co do reszty udawaj głupiego. Nie rozumiałeś większości rozmów i myślałeś, że dziewczyna była córką gospodarza domu, a tego mężczyznę przyłapałeś na próbie rabunku. Zrób

to zarówno dla naszego jak i własnego dobra. W końcu jesteś mi coś winien.

Kerrick chrząknął.

— A co z Wyspą 10?

— Zostawiam to już twemu sumieniu. Jeśli nadejdzie chwila, że uznasz, iż musisz coś z tym zrobić, masz wszystkie potrzebne informacje. Gdybyś potrzebował dowodów, udaj się do Grelvi. A na razie, uważaj na siebie. Wszystko tutaj zmierza ku kryzysowi i *litharni* wkrótce to odczują. Trzymaj się z dala od nabrzeży i ciemnych uliczek.

Thane posłał mu krótki, krzywy uśmieszek i wyciągnął w jego stronę linkę z ciężarkami.

— Lepiej noś to przy sobie. Może ci się przydać, również przy spotkaniu z Grelvi – będą wiedzieli, że to należy do mnie. Popatrz tutaj. — Pokazał Kerrickowi, że ciężarki ostemplowane były niewielkim interesującym symbolem. — To jest ich pismo. Większość z moich rzeczy jest nim oznaczonych, tak więc nawet obcy Grelvi zostawiają mnie w spokoju.

Kerrick zawahał się, ale Thane dodał:

— Weź to. Rano mam się spotkać z samym Prawodawcą, a tego przecież nie mogę użyć przeciwko niemu.

— No cóż — powiedział Kerrick. — Dziękuję.

Wziął podany przedmiot i schował go za pasem.

Lella rozmawiała z kobietami. Ich twarze były ponure jak noc, a młoda matka ciągle z niepokojem spoglądała na swoje dzieci. Harn, wielki mężczyzna, sługa i strażnik Lelli, wziął sztywny płaszcz i zaczął ją nim owijać.

Kerrick podszedł do niej i wygłosił dwie niezbyt inteligentne uwagi:

— Bardzo mi przykro — powiedział, i dodał jeszcze: — Uważaj na siebie.

Zdawała się rozumieć, o co mu chodzi, ponieważ uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę, mówiąc:

— Ty również. Gdybyś kiedyś potrzebował pomocy, przyjdź do mnie, a ja zrobię wszystko co będę mogła. — Potem dodała ponuro: — Chyba, że…

Kerrick uścisnął jej rękę. Poczuł w swej dłoni jej ciepło, cudowne ciepło, które przebiegło przez niego i zawirowało mu w głowie. Po czym powiedział coś zapewne nawet jeszcze bardziej głupiego:

— Chyba że to ty będziesz potrzebowała pomocy. W takim przypadku, to ty przyjdź do mnie.

Zmierzyła go przez chwilę głębokim i mocnym spojrzeniem, przestając się uśmiechać. Potem Harn ją wyprowadził, a w parę minut później, Kerrick musiał samotnie stawić czoła ulewie na pustym podwórzu, zastanawiając się w jaki to niby sposób miałby pomóc Lelli przeciw połączonym siłom jej ojca i Kompanii pod kierownictwem J.C. Welkera.

Kiedy przechodził pod niskim łukiem bramy, obejrzał się za siebie na mieszkanie, które właśnie opuścił.

Jego okna były już zupełnie ciemne.

Wzdrygnął się i pośpieszył zmytymi przez burzę ulicami miasta, a następnie poza nie, drogą do siedziby Kompanii.

Następnego ranka wstał z łóżka w swoim małym, funkcjonalnym pokoiku, który trochę sprawiał wrażenie więziennej celi. Obudził go bezosobowy, rozkazujący głos z interkomu.

— George Kerrick — oznajmił. — Proszę najszybciej, jak to tylko możliwe, zgłosić się do biura pana Welkera.

IV

Biuro pana Welkera mieściło się na szczycie budynku, nazywanego Wieżowcem Dyrekcji, dwudziestopiętrowej budowli wznoszącej się na północnym krańcu płaskiego budynku głównego, który zawierał kwatery załogi, kuchnię, szpital, centrum rekreacyjne, i parę działów urzędniczych. W Dyrekcji znajdowały się komputery, banki przechowywania zapisów i centra obliczeniowe, w których przetwarzano i oceniano dane ze wszystkich działających instalacji, takich jak Wyspa 6. Mieściły się tutaj dział PRAWNY oraz PLANOWANIA, jak również TECHNICZNY. W wieżowcu znajdowały się także luksusowe apartamenty dyrektorskie, niezajęte poza wizytami pana Jonesa albo Lansinga, oraz z nieco tylko mniejszym przepychem urządzone pomieszczenia pana Welkera.

Samo biuro było duże i elegancko umeblowane w dystyngowany, surowy sposób. Na wszystkich czterech ścianach znajdowały się okna, tak więc Welker mógł siedzieć tutaj, jak za dawnych czasów kapitan na mostku swego statku, nadzorując całą firmę od najważniejszych stacji pomp, przetaczających wodę morską do wielkich zbiorników, przez zdawałoby się nieskończone rzędy rur frakcjonujących, w których wydobywano z wody wszystkie pierwiastki mineralne, co do ostatniego atomu, do bulwiastej budowli mieszczącej punkt końcowy systemu sterowania, przesyłający ciągłym strumieniem dane na wejście, utrzymując w ten sposób cały cykl w ruchu. Poza całą instalacją, widać było, z jednej strony czarny kształt rozpościerającej się na wzgórzu fortecy, a z drugiej strony morze, ogromny perłowo-szary przestwór, za dnia spokojny i jedwabisty, pocętkowany nieustannie przesuwającymi się różowymi, purpurowymi, lawendowymi, zielonymi i złotymi plamkami, pływających wodorostów, kolorowych ławic pod płytką wodą, albo zabarwionymi przez równie ulotne odcienie pochmurnego nieba. Na linii horyzontu morze i niebo spotykały się, skryte w świetlistej zasłonie mgły, tak że miało się wrażenie zamknięcia w sercu mlecznego opalu, czy też perły.

To znaczy, Kerrick miał takie wrażenie. Wątpił, czy Welker czuł cokolwiek poza potężną, napędzającą go żądzą sukcesu, która oznaczała zdobywanie wszystkiego co chciał – wyższej produkcji, wyższej płacy, większej sławy, większej władzy.

I Lelli.

Welker był wysokim, dużym, dobrze wyglądającym człowiekiem. Miał twarde, jasnoniebieskie oczy, a jego rysy twarzy na pierwszy rzut oka były sympatyczne, sprawiając wrażenie inteligencji i czegoś w rodzaju bystrego humoru. Jednak już przy drugim spojrzeniu, w sposobie w jaki myślał i mówił, widoczny stawał się fundamentalny chłód tego człowieka, całkowity brak jakiegokolwiek ciepła i życzliwości. Nie, żeby Kerrick oczekiwał, że Welker weźmie go w ramiona i zaprosi na obiad. Ale Welker miał sposób patrzenia przez ludzi, tak jakby nie uważał ich za wartych poświęcenia czasu, potrzebnego do tego by ich zauważyć.

Tym razem jednak, kiedy Kerrick wszedł przez drzwi biura, Welker go zauważył. I Kerrick poczuł, że wnętrzności skręcają mu się w ciasny węzeł. Mam kłopoty, pomyślał, wiszą mi prosto nad głową.

A potem pomyślał z gniewem: Jeśli ten taki-owaki na mnie naskoczy, rozkwaszę mu nos.

Walker jednak nie naskoczył na niego. Uśmiechnął się i powiedział swobodnie:

— Dzień dobry panie Kerrick – zna pan Truby'ego, nieprawdaż?

Gil Truby, szczupły, niski człowieczek, będący starszym nurkiem i to jednym z najlepszych w Kompanii, podniósł się z krzesła, na którym siedział sztywno wyprostowany. Skinął głową Kerrickowi, który przywitał go:

— Cześć, Gil.

Welker przez cały czas przyglądał się Kerrickowi ostrym, lodowatym spojrzeniem, zupełnie niemającym związku z jego uśmiechem i miłym tonem.

— Otrzymałem o panu doskonały raport z Wyspy 6 — powiedział. — Zdaje się, że zakończył pan swoją naukę świadectwem z czerwonym paskiem.

Przerwał, jakby oczekując na odpowiedź, a więc Kerrick stwierdził:

— Bardzo się z tego cieszę.

— Prawdę mówiąc, słyszałem o panu tak wiele dobrego, że mam zamiar przydzielić pana do Truby'ego.

To zabrzmiało całkiem nieźle. Jedynym problemem był wyraz twarzy Truby'ego.

— Ale… — wtrącił Truby. — Ale, panie Welker! To jest zupełnie niezbadany fragment dna. Nowy człowiek…

— Jestem pewien, że pan Kerrick szybko się wszystkiego nauczy — na krótką chwilę uśmiech Welkera rozszerzył się, a potem zniknął, zaś spojrzenie jego twardych niebieskich oczu wbiło się w Truby'ego, nie pozwalając mu na żadne dalsze protesty. — Wiem, że to mało czasu, ale chciałbym, aby obaj panowie wyruszyli na łodzi badawczej jeszcze dzisiaj w południe.

Truby zawahał się. Potem odparł:

— Tak, panie Welker.

Welker popatrzył na Kerricka.

Kerrick ostrożnie spytał:

— Czy mógłbym się dowiedzieć, dokąd ta łódź ma popłynąć?

— Myślałem, że o tym wspomniałem — oznajmił Welker. — Ma popłynąć na Wyspę 10.

— Na Wyspę 10 — powtórzył Kerrick. Rysy jego twarzy zaostrzyły się. — Rozumiem.

Oznaczało to, że Welker nie miał zamiaru bezpośrednio nawiązywać do incydentu z ostatniej nocy, ponieważ musiałby wtedy przyznać się do swego w nim współudziału, co nie przysporzyłoby mu popularności u Lelli, jak i prawdopodobnie również u jej ojca. Nie chciał jednak, aby Kerrick w najbliższym czasie kręcił mu się pod nogami. Nie było żadnej rozmowy na temat tego co szpieg zdołał podsłuchać, zanim został wykryty, a na wszelki wypadek Welker musiał przyjąć szerokie założenie, że Thane, Lella i pasterze przedstawili mu swój punkt widzenia na jego osobę, prawdopodobnie włączając w to niebezpieczne dla niego uwagi.

W efekcie więc, Kerrick miał wylądować na Wyspie 10, na niebezpiecznych i nieznanych wodach, gdzie do zwykłych stale obecnych zagrożeń ze strony samego morza, dochodziło jeszcze niebezpieczeństwo powodowane przez Grelvi.

— Kompania się rozwija, panie Kerrick — oznajmił Welker ze swym zwykłym zimnym, lekkim uśmieszkiem na ustach. — Daję panu szansę by stanąć w awangardzie tego rozwoju.

— Dziękuję panu — sztywno odparł Kerrick, patrząc mu prosto w oczy. — Czy wyda pan wyprawie broń?

— Broń? — spytał Welker, zaskoczony.

— Do walki z Grelvi. Jak rozumiem, zgłaszają oni roszczenia do Wyspy 10. Mogą się sprzeciwić naszej tam obecności.

— Grelvi! — rzucił gniewnie Welker. — Nasłuchał się pan opowieści starych bab. Te stworzenia nie są ludźmi, jeśli w ogóle istnieją – czy widział je pan kiedyś, Truby?

— Nie, proszę pana.

— I w jaki sposób nie-ludzkie zwierzęta, mogłyby zgłaszać roszczenia do własności czegokolwiek?

— O to, trzeba by już spytać Dział Prawny, panie Welker — odparł Kerrick.

— Prosiłbym więc, aby zostawił pan tę sprawę Działowi Prawnemu.

Nacisnął przycisk na swoim biurku i drzwi biura otworzyły się. Truby z ulgą ruszył w ich stronę, ale Kerrick twardo stał na swoim miejscu.

— Czy w sytuacji gdybyśmy zabili któreś z tych nie-ludzkich zwierząt, Dział Prawny będzie nas chronił? Pytam tak na wszelki wypadek, jeśli okazałyby się one inteligentne i gdyby były prawowitymi właścicielami tej wyspy.

Twarz Welkera zaczęła przybierać niebezpieczny wygląd. Wyprostował się w swym fotelu i spokojnie oznajmił:

— Zgodnie z warunkami pańskiego kontraktu, płaci się panu za nurkowanie i za nic więcej. Jeśli odmówi pan przyjęcia tego przydziału, zawieszę pana na okres pozostający do zakończenia pańskiego kontraktu – co oznacza, że nie będzie pan mógł pracować dla nas, ani dla nikogo innego przez najbliższe trzy lata. Czy odmawia pan jego przyjęcia?

— Nawet mi to przez głowę nie przeszło — odparł Kerrick, odwrócił się na pięcie i wyszedł z biura.

Kiedy stali, czekając na windę na dół, Truby pokręcił głową.

— I tak to się zawsze kończy, kiedy ktoś zadrze z Wielką Kamienną Twarzą. — Obrzucił Kerricka zaciekawionym spojrzeniem. — Czyżby chodziło o coś osobistego?

Kerrick odparł:

— Nie do końca.

— No dobrze, to nie moja sprawa. Ale o co chodzi z tymi Grelvi?

— To tylko coś, co słyszałem.

Nadjechała winda. Weszli do środka i ruszyli w dół.

— Skąd? — spytał Truby.

— Od jednego gościa, którego tu spotkałem. To Ziemianin, nazywa się Thane.

— Ach — powiedział Truby. — Od niego.

— O co ci chodzi z tym, *od niego*?

— On jest… no, wiesz. — Truby zrobił ręką kółko koło głowy. — Trochę świrnięty. Siedzi tutaj już od tak dawna, że myśli, iż jest panem tego miejsca, a tak długo zajmuje się rybami, że wydaje mu się, iż one z nim rozmawiają.

Kerricka naszła myśl, że to może być absolutnie prawda, zaś nastawienie rodziny Donavela do Grelvi, to tylko przesądy tubylców.

Chciałby uwierzyć w taką wersję wydarzeń, ale Thane jakoś nie zrobił na nim wrażenia specjalnie niezrównoważonego, a Donavel był całkiem trzeźwym człowiekiem.

Wyszli z windy.

— Słuchaj — nagle poprosił Truby'ego Kerrick, — mógłbyś mi zrobić pewną przysługę? Nie sprawdził byś dla mnie mojego sprzętu? Mam jeszcze coś do załatwienia w mieście.

Truby zawahał się, a potem odparł:

— No, dobra. Ale jeśli spóźnisz się na łódź, to obaj wpadniemy w niezłe tarapaty.

— Zdążę, na pewno — obiecał mu Kerrick i wyszedł z budynku.

Poza budynkiem panował niesamowity upał. Szedł, jak gdyby w łaźni parowej, przedzierając się przez powietrze tak ciężkie od wilgoci, że czuł, jakby do oddychania potrzebne mu były skrzela. Nie mógł zabrać jeepa z Kompanii, ponieważ musiałby jakoś uzasadnić jego wykorzystanie, a nie potrafił wymyślić żadnego dobrego powodu. Ruszył więc piechotą, przez dziedziniec fabryki Kompanii, wypełniony wszechobecnym dudnieniem pomp, jakby biciem jakiegoś ogromnego serca. Wyszedł przez bramę i

pomaszerował drogą, na końcu której wielkie wloty zasysające wodę nieustannie burzyły i mąciły morze.

Za dnia miasto wyglądało na starsze, bardziej zniszczone i pokryte patyną wieków, dziedzińce i wąskie alejki piekły się w koszmarnym upale, zaś dachy były opustoszałe. Dzieci pędziły dookoła, zatopione w swych zabawach, nieustraszone jak młode demony. Wysokie, bladowłose kobiety podążały zajęte swoimi sprawami, na zatłoczone place handlowe. Większość z mężczyzn była już daleko na morzu, łowiąc ryby, spędzając stada, albo doglądając pływających farm.

Kerrick miał pewne problemy z odnalezieniem domu, w którym był poprzedniej nocy. Kiedy udało mu się to zrobić, pobiegł z wielkim pośpiechem po zniszczonych stopniach do góry, zdając sobie sprawę, że Donavel i Verilan z pewnością wypłynęli w morze, ale mając nadzieję, że może zastanie tam jeszcze Thane'a.

Ze zdziwieniem dostrzegł, że trójząb Verilana ciągle spoczywa na swym miejscu, nad drzwiami.

Ze środka dobiegały odgłosy płaczu.

Pchnął zastępującą drzwi kotarę i niepewnie wszedł do pomieszczenia. Młoda żona Verilana siedziała na platformie, z najmłodszym dzieckiem na kolanach i dwoma starszymi po bokach, otaczając je wszystkie ramionami. Cała czwórka głośno płakała. Starsza z kobiet siedziała koło nich, ponuro wpatrując się w pustkę, z głęboką zmarszczką między brwiami.

Trójząb Donavela również znajdował się na swoim miejscu.

— O co chodzi? — spytał Kerrick. — Co się stało?

Młodsza z kobiet nawet nie uniosła głowy. Żona Donavela odwróciła się powoli w jego stronę i popatrzyła na niego z czarną goryczą, która aż go cofnęła.

— Dzisiaj rano, przed świtem — oznajmiła, — przyszli żołnierze Prawodawcy i zabrali mojego męża i syna.

— Ale dlaczego? — spytał wstrząśnięty Kerrick.

— Czy myślisz, że oni muszą się nam tłumaczyć? O, nie! Ale mogę ci powiedzieć. To z powodu ostatniej nocy, ponieważ szpieg, który śledził królewską córkę, zobaczył ją w miejscu, w którym nie powinna się znaleźć, mówiącą o rzeczach, o których bezpieczniej byłoby milczeć. — Mówiła coraz głośniej, napiętym i wstrząśniętym tonem. — Mówiłam Donavelowi, że ten miękki, spokojny sposób działania, przyniesie nam tylko katastrofę. Mówiłam mu, powstańmy i uderzmy! Spalmy siedzibę Kompanii, wyciągnijmy Sulvini z ich uroczych willi i spalmy je również, a potem fortecę. Rozgłośmy wezwanie do walki między rybakami, morskimi pasterzami, farmerami, wszystkimi ludźmi mieszkającymi w tej dzielnicy – oni by za nami poszli i to z ochotą! Ale Thane i Lella powiedzieli nie, a Donavel posłuchał ich, a nie mnie.

Wstała i zrobiła krok w stronę Kerricka.

— A teraz coś ci powiem *litharni* – zabieraj stąd tę swoją czerwoną tunikę, zanim stanie ci się jakaś krzywda.

Jej oczy płonęły żądzą mordu. Kerrick nie winił jej za to. Zdaje się, że Welker przekazał wszystko, czego się dowiedział od swojego szpiega Prawodawcy, niewątpliwie skrywając sposób, w jaki zdobył te informacje.

— Proszę — powiedział Kerrick. — Muszę się zobaczyć z Thanem. Gdzie…

— Wyszedł wcześnie rano, żeby porozmawiać z Prawodawcą, czy nie mógłby zwolnić Donavela i mojego syna. Ale jeszcze nie wrócił.

Kerrick poprosił ją:

— Kiedy wróci, proszę mu powiedzieć, że wysłano mnie na Wyspę 10 i…

— Ach! — wrzasnęła kobieta. — Ach – ach! Grelvi będą już tam na ciebie czekać! Nakarmisz ich, *litharni* – utuczysz je i uczynisz silniejszymi, takimi jakimi byli za dawnych dni, kiedy Sulvini kulili się przed nimi ze strachu!

W jej nagłym krzyku było coś niewysłowienie wstrząsającego. Dla Kerricka zabrzmiało to, jakby przemówił głęboki i pradawny głos tej zadumanej planety, której sekrety Ziemianie dopiero zaczęli poznawać. Raptownie i z pełną mocą uderzyła go świadomość, którą zawsze przedtem bez trudu spychał w głąb podświadomości, tego że stoi na powierzchni planety nie będącej Ziemią, planety całkowicie obcej.

— Wtedy dopiero zobaczymy! — krzyczała dalej. — Wtedy będziemy przyglądać się rzeźni!

Było aż nadto widoczne, że nic więcej się od niej nie dowie, tak więc Kerrick z ochotą wycofał się i zszedł na dół po stopniach.

Kiedy stanął na ziemi, na ramię opadła mu czyjaś silna ręka. Odwrócił się szybko i rozpoznał wysokiego, wyglądającego na silnego Wenusjanina, który stał przed nim.

Harn. Służący Lelli. Przez moment Kerricka przeszyła nierozsądna nadzieja. Potem Harn powiedział:

— Mam dla ciebie wiadomość, od Thane'a.

— Thane? A gdzie on jest?

— W więzieniu Prawodawcy — stanowczo oznajmił Harn. — Miałem powierzyć jego wiadomość jednej z kobiet Donavela, aby ci ją przekazała, ale teraz…

— W więzieniu? — Kerrick był zdumiony. — Co to za wiadomość?

Harn uważnie powiedział:

— Jeśli chcesz spłacić dług, jaki u mnie masz, powiadom któregoś z Grelvi, gdzie jestem.

Kerrick poczuł się trochę słabo. Był winien Thane'owi przysługę – za swoje życie. I, ironicznie, to że Welker wysyłał go na Wyspę 10, mogło czynić spełnienie życzenia Thane'a łatwiejszym. Ale Thane przecież nie wiedział, że miał się tam udać. Dlaczego nie poprosił, by Harn sam przekazał wiadomość Grelvi?

Zadał to pytanie na głos i twarz Harna przybrała kamienny wyraz. Oznajmił:

— Żaden Wenusjanin nie zbliża się do Grelvi, chyba że oni sami zaproponują, by to zrobił!

A więc, to tak. Przesądny strach, albo przesądny szacunek, tak silny, że cokolwiek by to nie było, Thane nie miał szans znaleźć posłańca wśród Wenusjan.

Kerrick zapytał:

— Harn, kim są ci Grelvi?

Harn zmierzył go dłuższym spojrzeniem, a następnie oznajmił:

— Przekazałem ci twoją wiadomość — po czym odwrócił się do tyłu i odszedł dumnym krokiem.

Z okna nad głową Kerricka, dolatywał głos żony Donavela, ciągle uniesiony do poziomu stłumionego, pełnego goryczy krzyku, wygłaszający szalone i mściwe proroctwa.

Kerrick wzdrygnął się i odwrócił.

V

Na Wyspie 10 panowała noc. Kerrick szedł koło szeregu plastikowych chat, w których spali ludzie, uważnie, jak skradający się kot i równie cicho. Nad całą wyspą wisiała mgła, niczym gęsta niebieska chmura, przyciemniając światła tak mocno, że wydawały się one słabe jak płomyki świeczek, tłumiąc również dźwięki. Leżała ciężarem na płucach, jak dym, pachnąc czymś obcym, nawiedzonym, przerażającym oddechem nieznanego.

Z ogromnym żalem Kerrick pomyślał o oświetlonym wnętrzu prymitywnej małej chatki, którą dzielił z Trubym. Szedł jednak dalej, miękko stąpając po wilgotnej ziemi.

Panowała cisza. Teraz, w nocy, kiedy wszystkie hałaśliwe odgłosy życia dobiegające z budynków ucichły, spokój był wręcz przerażający. Fale przyboju rzadko huczały na wenusjańskich plażach, chyba że akurat trwał przypływ słoneczny, albo wichura, które by je wypiętrzyły. Spokój mórz na Wenus, dla Ziemian zawsze był czymś niesamowitym. Obecna cisza była jednak inna. Kerrick niemalże czuł wodę obmywającą tę niewielką wyspę w kształcie półksiężyca. Niemal słyszał jej oddech, dotyk i drżenie w jakimś napiętym gorliwym wyczekiwaniu.

Minął ostatnie chaty i niemal po omacku szukał drogi przez fragment otwartego terenu, prowadzący w stronę plaży.

Od kiedy tutaj wylądowali, sprawy nie szły dobrze. Pierwszego dnia, wraz z Trubym, zostali wysłani na dół, aby zbadać konfigurację dna oceanu po wschodniej stronie wyspy, tak by Canforra, inżynier kierujący wyprawą, mógł zdecydować o najlepszej lokalizacji dla swoich rur pobierających. Tego dnia, ciepłe, płytkie wody oceanu roiły się, jak zwykle, tysiącami niesamowitych, bajecznie ubarwionych stworzeń,

pływających, pełzających i wijących się między kolorowymi kępami mchu i wspaniałymi wodorostami.

Drugiego dnia zeszli na dół, pobrać próbki dna, aby Canforra mógł wybrać miejsce gdzie muł był dostatecznie bogaty w minerały, żeby warto było ponieść dodatkowe koszty zainstalowania urządzenia wzburzającego osady denne. Tego dnia wszystkie pływające, pełzające i wijące się stworzenia, zniknęły. Pastwiska mchów i lasy wodorostów kompletnie opustoszały. Kerrick i Truby, kiedy pływali w niesamowitych zaroślach, kołyszących się leniwie w niemal stojącej wodzie, trzymali się blisko siebie, nerwowo rozglądając się dookoła, wyczuwając złowrogie i ogromne zagrożenie, czające się gdzieś, tuż poza zasięgiem widoczności.

I pozostało ono poza zasięgiem widoczności. Ale trzeciego dnia wodorosty zaczęły umierać, kręgiem wokół całej wyspy, a codziennie ten krąg się poszerzał. Ludzie stojący w nocy na warcie, mówili że widzieli poruszające się w wodzie dziwne światła, głęboko pod powierzchnią, z mgły dobiegały jakieś głośne rozmowy, zaś wzdłuż plaż widać było w morzu zmarszczki i wiry, w miejscach, gdzie nie było żadnych prądów, które mogłyby je spowodować.

Canforra, który był zdolnym inżynierem i równie twardym człowiekiem, jak któraś z jego platikonowych konstrukcji, rzucił tylko kilka krótkich niecenzuralnych słów i oznajmił wszystkim, że instalacja na Wyspie 10 będzie budowana zgodnie z rozkładem, pomimo wszystkich świateł i hałasów, które potrafiłaby wymyślić ich bujna wyobraźnia.

I była budowana. Każdego dnia długimi sznurami barek, przypływało coraz to więcej sprzętu. Oblicze wyspy już teraz wyraźnie się zmieniło. Na jej wschodniej stronie umiejscowiona została przenośna stacja pomp, gotowa do wypełnienia zbiorników testowych, a kiedy Kerrick zbliżał się do plaży, minął barak z prefabrykatów, w którym znajdowały się same zbiorniki i testowy frakcjonator, dopiero co dzisiaj przywieziony.

Wewnątrz baraku paliły się światła. Technicy musieli pracować po godzinach, aby w pełni złożyć frakcjonator i uruchomić go. Kerrick ostrożnie obszedł budynek, zatrzymując się przy nim tylko przez krótką chwilkę, aby rzucić okiem przez okno do środka.

Widać było maszynę, znacznie mniejszą niż ta, która później miała zastąpić ją na stałe. Nawet pomimo tego, była całkiem duża – prostopadłościenna, niebieska, metalowa skrzynia, o wysokości jakichś ośmiu stóp i mniej więcej pięciostopowych bokach, zwieńczona czterema gigantycznymi czerwonymi izolatorami, dziwacznie wyglądającym uzwojeniem i siecią wychodzących z niej kabli. Były one podłączone do przenośnego atomowego pakietu siłowego, tego samego typu jak ten, dostarczający energii dla wszystkich celów na wyspie.

Na przedzie maszyny znajdował się wskaźnik graficzny, na górze, oraz rząd urządzeń sterujących, kierujących działaniem ogromnych wielo-fasetowych soczewek kryształowych, które zdominowały panel frontowy. Podczas działania frakcjonatora, na soczewki nakładana była ciężka osłona, chroniąca przed silnym promieniowaniem emitowanym przez niewielki otwór. Urządzenia sterujące ustawiane były przed rozpoczęciem

działania i nastaw nie można było zmienić, zanim nie uległo ono zakończeniu, a frakcjonator nie został wyłączony.

Tak zwane promienie frakcjonujące, mogły być dostrajane do poszczególnych pierwiastków, tak by oddzielać atomy tego pierwiastka od otaczającej je wody morskiej, przechodzącej przez wystawiony na ich działanie zbiornik, w procesie zbliżonym do „osadzania". Metoda ta była możliwa, dzięki zwiększonej kontroli nad energią atomową i szerokiemu wykorzystaniu impulsów elektromagnetycznych do nowych zastosowań. Była ona ogromnym ulepszeniem w stosunku do przestarzałych metod ekstrakcji minerałów przez odparowanie, żywice jonowymienne, czy nawet absorbcję chromatograficzną, która była jej dalekim przodkiem. Pozwalała ona na selektywne usuwanie minerałów, w różnych punktach kolumny absorpcyjnej. To właśnie frakcjonatory uczyniły górnictwo morskie naprawdę możliwym w praktyce, na dużą skalę.

Technicy pracowali bez pośpiechu, poświęcając frakcjonatorowi wiele uwagi, ponieważ jeśli cokolwiek poszłoby nie tak, to właśnie oni znaleźliby się na froncie destrukcji. Te urządzenia równie dobrze mogły frakcjonować ludzi, jak i wodę. Byli więc bardzo mocno skupieni na swej pracy i ewidentnie nie usłyszeli Kerricka. Zdecydował, że z ich strony nic mu nie grozi i zaczął skradać się dalej, przez zamgloną plażę.

Nie widział przystani, ale wiedział, że musi ona być prosto przed nim. Widział również, że jest pilnowana, a więc nie wolno mu narobić hałasu. Szopa, w której przechowywano sprzęt do nurkowania, znajdowała się mniej więcej w połowie drogi między barakiem z instalacją testową i przystanią. Stawiał stopy delikatnie, miękko, na mokrym piasku i kiedy malutka stróżka wody, ciepła jak krew, podpłynęła do jego kostek, dotknęła ich i cofnęła się, Kerrick gwałtownie się poderwał.

Pokręcił głową z politowaniem nad sobą i ruszył dalej. Przez pierwszych parę dni był za bardzo zajęty, żeby udać się na poszukiwania Grelvi, a przy tym sądził, że Grelvi sami przybędą na wyspę i nawiążą jakiś kontakt z intruzami, choćby po to, aby ich ostrzec. Zamiast tego, z okolicznych mórz usunięte zostały wszystkie żywe stworzenia, tak jakby wyspa miała zostać odizolowana, w przygotowaniu do jakiejś niesamowitej i całkowitej zagłady.

Coś – być może instynkt, albo jakiś proces rozumowania, zbyt głęboko skryty w umyśle, aby go określić – mówiło Kerrickowi, że nie może czekać już ani chwili dłużej, nie tylko w interesie Thane'a, ale także swoim własnym, a to obejmowało również resztę ludzi obecnych na Wyspie 10.

Palce wyciągniętych do przodu rąk, natknęły się na gładką plastikową powierzchnię, śliską od wilgoci. Ruszył wzdłuż ściany, przez cały czas dotykając jej dłonią, obszedł róg i szedł dalej, aż wyczuł krawędź drzwi. Otworzył je po cichu i znalazł się w środku, pociągając drzwi aby je za sobą zamknąć.

Szopa nie miała okien, przez które mógłby wydostać się zdradziecki blask światła. Zapalił więc małą latarkę kieszonkową i z nerwowym

pośpiechem zaczął zbierać i sprawdzać swój sprzęt. Chciał zacząć całą akcję, zanim nerwy zjedzą go do końca.

Zebrał na stos wszystko, co było mu potrzebne, kiedy ponownie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Truby.

— Tak sobie myślałem, że cię tutaj znajdę — powiedział, posyłając Kerrickowi gniewne spojrzenie.

Kerrick przeklął go w myślach.

— Myślałem, że już śpisz.

— Obudziłem się. No dobrze, Kerrick, gadaj. Co u diabła chcesz zrobić?

— Powiem ci, kiedy wrócę.

— Powiesz mi teraz. Zachowujesz się bardzo dziwnie, od kiedy tutaj jesteśmy, tak jakby coś ci chodziło po głowie. I wydaje mi się, że coś jest na rzeczy. Wiesz co Canforra powiedział mi dzisiaj wieczorem?

— Nie — odparł Kerrick, przesuwając ciężar ciała i mocno się pocąc. — Co?

— Kazał mi mieć na ciebie oko. Mówił mi, że otrzymał na twój temat wieści prosto od samego Welkera, przez człowieka, który dzisiaj przypłynął na barce.

— A nie kazał ci przypadkiem, przeciąć rury mojego aparatu tlenowego, albo włożyć ołowianych ciężarków do mojej torby na próbki? — kwaśno spytał Kerrick.

Truby wyglądał nieswojo.

— Nie, nie kazał. I powiem ci, Kerrick, że nie czuję się dobrze z tą całą sprawą. Osobiście, lubię cię. Ale nie mogę nurkować z kimś, komu nie ufam, a sprawy wyglądają tak, że może to dotyczyć nie tylko mnie, ale wszystkich ludzi w obozie.

— Tak już jest. Posłuchaj, Truby, muszę wypłynąć poza wyspę i spróbować…

— Spróbować czego? — spytał Truby. — Ocalić własną skórę, podczas gdy reszta z nas ma zostać wymordowana? Jesteś kumplem Thane'a, on zadbał o ciebie. A może nawet jesteś – hej! Oczywiście, że o to chodzi! — oczy Tryby'ego zapłonęły. — Przynosisz od niego wieści, tym jego pieszczochom, które czają się wokół wyspy.

— Wydaje mi się, że tak — spokojnie odparł Kerrick. — Myślałem, że wszyscy są przekonani, że Grelvi są nieistotni, jeżeli w ogóle istnieją.

— Wygląda na to, że wszyscy byliśmy w błędzie — stwierdził Truby, przesuwając się niepostrzeżenie do tyłu, w stronę drzwi. — Ja też rozmawiałem z tym gościem. Przywiózł ze sobą spory ładunek karabinów – jutro to się rozniesie po całym obozie, nie da się czegoś takiego utrzymać w tajemnicy przez dłuższy czas. Powiedział…

— Co powiedział? — spytał Kerrick, posuwając się lekko do przodu, z rękoma luźno zwisającymi po bokach.

Spojrzenie Truby'ego przesunęło się z niepokojem od niego do drzwi, mierząc do nich odległość.

— Powiedział, że kiedy Welker otrzymał raport Canforry, rozmawiał z Prawodawcą, a Prawodawca rozmawiał z Thanem – on siedzi w jego fortecy, wiedziałeś o tym? – i Thane uważa, że Grelvi przesłali nam ostrzeżenie, żebyśmy się stąd wynosili, a jeżeli tego nie zrobimy…

Obrócił się na pięcie i skoczył do drzwi, Kerrick zaś rzucił się za nim.

Złapał Truby'ego w pasie i wypadli razem przez drzwi. Kiedy padali na ziemię, Truby wrzasnął z całej siły jaką miał w płucach.

Kerrick walnął go ze wściekłością.

— Zamknij się — warknął. — Zamknij się, ty cholerny głupcze! Czy nie rozumiesz, że jestem jedyną szansą, jaką macie na przeżycie?

Ale było już za późno. Na przystani rozległ się okrzyk, a od strony baraku z próbną instalacją doleciały kolejne głosy. Truby młócił wokół siebie wszystkimi kończynami, walcząc z furią. Jego stopy uderzały w tułów Kerricka, ręce zadawały ciosy, drapały paznokciami i kurczowo wczepiały się w jego ciało. Kerrick nie miał czasu na finezję. Lubił Truby'ego, ale nie na tyle by zginąć, aby oszczędzić mu bólu głowy. Wyciągnął z tuniki sznur z ciężarkami Thane'a i walnął nim Truby'ego w głowę. Nurek od razu ucichł.

Kerrick wciągnął go do szopy, pochwycił w ramiona przygotowany stos ekwipunku, rozpaczliwie starając się niczego nie zostawić i wyłączył małą latarkę.

Potem zaczął nasłuchiwać.

Mgła trochę stłumiła i zakłóciła wrzask Truby'ego. Na zewnątrz grupa ludzi poruszała się dookoła z lampami, pokrzykując do siebie nawzajem, próbując zorientować się co to był za krzyk i skąd doleciał. Kerrick zmarszczył brwi, ciężko oddychając. Potem wyślizgnął się na dwór, zabierając ze sobą sprzęt i zamknął drzwi szopy. Poruszając się z największą uwagą, skierował się z powrotem w stronę baraku z instalacją testową, trzymając się blisko wody i obserwując przemieszczające się chaotycznie rozbłyski świateł w gęstej mgle.

Kerrick pomyślał sobie, że pośród masy składowanych maszyn i materiałów mających posłużyć do budowy stałej stacji pomp, koło tymczasowej instalacji, nad morzem po drugiej stronie baraku, uda mu się znaleźć jakieś schronienie na wystarczająco długi czas, aby założyć na siebie sprzęt do nurkowania. Teraz już musiał wydostać się z wyspy, niezależnie czy tego chciał, czy nie. Welker ostrzegł przed nim Canforrę, a kiedy Truby pójdzie do niego i powie, że Kerrick z pewnością przenosi wiadomości od Thane'a do Grelvi – co rzeczywiście było prawdą – nie wydawało mu się, by ktokolwiek mu uwierzył, kiedy wyjaśni na czym te wiadomości polegały. Obawiał się, że biorąc pod uwagę obecnie panujący stan poddenerwowania i to jak źle zaczynają wyglądać sprawy, bardzo prawdopodobne było, że od razu na miejscu go zabiją.

Pomyślał, że dla Welkera byłby to bardzo elegancki, czysty sposób pozbycia się go, jeśli taki miał zamiar. Pomyślał także, że skoro Welker przysłał na Wyspę 10 karabiny, to musi być naprawdę zaniepokojony.

A jeśli Welker tak nagle zaniepokoił się sprawą Grelvi, niezależnie od tego czy są to zwierzęta czy nie, to ostrzeżenia Thane'a musiały zrobić wrażenie. Kerrick uważał, że sprawy na głównej wyspie prawdopodobnie stały znacznie gorzej, niż twierdził to „człowiek" Truby'ego.

Czy moc imienia Thane'a, mogła jeszcze powstrzymać te tajemnicze stworzenia przed zadaniem ciosu?

Niezależnie od tego, musiał spróbować. W innym przypadku zginie wielu dobrych ludzi, takich jak Truby, którzy przecież niczemu nie są winni.

Prawie dotarł do baraku z instalacją testową i niemal uznał, że jest już bezpieczny, kiedy na plaży przed sobą, między morzem a barakiem, zobaczył światło, a jakiś głos z tyłu zawołał, że znaleziono Truby'ego i brakuje części wyposażenia.

— … do nurkowania! — doleciał stłumiony ponaglający okrzyk. — Nie pozwólcie mu odpłynąć!

I od światła do światła zaczęło wędrować echem we mgle słowo *Grelvi*, a powtarzające je głosy pełne były lęku.

Kerrick zatrzymał się i skręcił, mając nadzieję, że uda mu się prześlizgnąć koło baraku z instalacją testową, od strony lądu. Ale tam również były światła, które ruszyły w jego stronę, a ktoś zaczął krzyczeć:

— Tam jest! Tam jest, zatrzymać go!

Otwarte drzwi do baraku były tuż koło niego, rzucając długą smugę światła w mgłę. Długie pomieszczenie w środku, wyglądało na puste. Kerrick wbiegł do niego.

Wszędzie dookoła słychać było tupot nóg i krzyczące głosy. Kerrick w kilku skokach pokonał pomieszczenie, biegnąc koło instalacji zbiorników, w stronę wielkiego frakcjonatora. Zaskoczył goniących go ludzi i miał nadzieję, że uda mu się wymknąć wyjściem na drugim końcu budynku. Ale przez znajdujące się za frakcjonatorem drzwi, wpadł jakiś człowiek i rzucił się na niego, wymachując jak maczugą, długim kawałem rury.

Kerrick rzucił swój pakunek i złapał oburącz rurę, ze świstem zmierzającą ku jego głowie. Ściągnął ją, okręcił mężczyznę wokół siebie, niemalże uderzając w odkryte soczewki frakcjonatora. Widział kolejnych ludzi biegnących do nich w stronę baraku. Jakiś piskliwy, ochrypły głos wrzeszczał bez przerwy:

— Zabić go! Chciał na nas sprowadzić Grelvi!

Ludzie biegli równie rozemocjonowani i rozszalali, jak stado na wpół dzikich gończych psów.

Mężczyzna na drugim końcu rury szarpał się gwałtownie, usiłując ją wyrwać. Jego oczy pełne były strachu i wściekłości.

— Jesteś z Grelvi — wydyszał. — Próbujesz nas wszystkich zabić…

Kerrick desperacko uderzył go w szczękę, odrzucając mu głowę do tyłu. Uchwyt mężczyzny na rurze poluźnił się. Kerrick umieścił stopę na brzuchu przeciwnika i odepchnął go. Kątem oka dostrzegł, że ktoś wyskakuje na nieco zza frakcjonatora. Piskliwy, ochrypły głos nadal wrzeszczał, ale tym razem głosił:

— Mam tego łajdaka! Uważajcie, mam go…

Jego przeciwnik puścił rurę i zatoczył się do tyłu, padając na podłogę. Kerrick zawinął rurą nad głową, kierując ją na ludzi zmierzających ku niemu od tyłu, którzy natychmiast się zatrzymali. Rura ciągle była w ruchu, mężczyzna któremu ją zabrał nie zdążył jeszcze upaść, a Kerrick wykonywał swój obrót, kiedy to się stało.

Ktoś nacisnął główny przełącznik i rozległo się buczenie urządzeń pod napięciem. Nieosłonięte soczewki frakcjonatora rozbłysły nagle szaleńczo, żółtą i pomarańczową barwą, jak ogromne, złowrogie klejnoty. Buchnął z nich strumień promieniowania.

Kerrick znajdował się niemal bezpośrednio przez frontem frakcjonatora. Mężczyzna, którego odepchnął był już poza soczewkami, z boku urządzenia. Promieniowanie powinno trafić prosto w Kerricka, a pozostałych ludzi ominąć, nie robiąc im krzywdy. Ale wielofacetowe soczewki nie były jeszcze skoordynowane ze znajdującymi się za nimi lustrami ogniskującymi. Strumień promieniowania skierował się ukośnie w bok, zamiast prosto do przodu. W ciągu sekundy, a może nawet mniej, pochwycił mężczyznę i odarł jego kości powyżej bioder, z substancji miękkich, jak mięśnie, ciało i krew. W ten sposób, w mgnieniu oka, człowiek ten zmienił się w straszliwy pół-szkielet, wspierający się na normalnych, silnych nogach, które ciągle się poruszały. Potem zaczęły rozpadać się także kości i nogi upadły na ziemię. Od strony ludzi po drugiej stronie maszyny doleciał straszliwy krzyk.

Oszołomiony i z trudem powstrzymujący mdłości Kerrick uciekł drzwiami, przez które wbiegł ten nieszczęśliwy człowiek, aby znaleźć tu swą śmierć. Zupełnie instynktownie, przebiegając koło tobołka ze sprzętem do nurkowania, schylił się i złapał za niego. Ze środka słyszał ciężkie krzyki ludzi, pełne zgrozy i przerażenia. Stopniowo stawały się one coraz słabsze. Nikt za nim nie pobiegł. Najwidoczniej chwilowo wszystkich sparaliżował szok. Kerrick rzucił się między maszyny i wysokie stosy materiałów na terenie budowy.

Kiedy dotarł do krawędzi wody, rozebrał się z gorączkowym pośpiechem i wciągnął na siebie uprząż z butlą z tlenem i małą, zasilaną bateryjnie, jednostką napędową. Do pasa przy spodenkach przypiął silną lampę podwodną i uważnie umocował przy nim również sznur z ciężarkami Thane'a, tak by go nie zgubić, a w razie potrzeby szybko go wyciągnąć. Potem wcisnął stopy w lekkie plastikowe płetwy, włożył do ust rurkę aparatu do oddychania i założył maskę.

Był już w pełni gotowy. Może rozciągało przed nim w ogromnej ciszy, ciemne pod bezgwiezdnym i bezksiężycowym niebem, otulone purpurową mgłą.

Gdzieś tam, poza coraz bardziej rozrastającym się pierścieniem śmierci wokół wyspy, czekali Grelvi.

Kerrick wzdrygnął się, ale tylko raz. Potem wziął do ręki włócznię elektryczną i szybko wszedł do wody.

VI

Dno w tym miejscu tworzyło szeroką, opadającą nieckę, pozbawioną jakichś specjalnych przeszkód. Kerrick płynął prosto przed siebie, nie

używając światła, dopóki nie upewnił się, że jest na tyle daleko od przystani, by nawet jeśli ktoś, przez jakąś szczelinę we mgle, dostrzeże blask w morzu, mógł tylko bezproduktywnie krzyczeć.

Woda była ciepła i pieściła mu ciało, była również niesamowicie ciemna. Nie znosił tego. Podmorski świat był jego światem i czuł się w nim jak w domu, równie dobrze jak ryba. Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, odnosił wrażenie, że morze było czymś, czego należy się bać i nienawidzić.

Nie, nie morze. *To morze* – obce i odmienne od niebieskich, zimnych wód Ziemi, tak samo jak ląd był odmienny od jego rodzinnego Ohio.

Kiedy włączył przypiętą do pasa lampę, wcale nie poczuł się lepiej. Wyrastająca wokół niego kula rozproszonego światła rozpędzała bezpośrednio otaczającą go ciemność, ale pokazywała także sczerniałe, uschnięte wodorosty i martwe mchy, kompletną pustkę wody, w której nie poruszało się żadne żywe stworzenie, poza nim.

Włączył jednostkę napędową i zanurzył się głębiej. Płynął coraz dalej w ciemne morze, zostawiając za sobą pierzasty ślad srebrnych bąbelków.

Gładka, nieckowata formacja dna rozpadła się, pojawiły się w niej głębsze szczeliny i wyższe, ostrzejsze wierzchołki skalne. W Końcu Kerrick poruszał się ciemnym dnem doliny, pomiędzy skalnymi ścianami, odbijającymi mokry blask w miejscach, w których dotknęło ich światło jego lampy. Wszędzie panowała kompletna pustka i całkowity brak życia.

Przyszło mu do głowy, że na tym właśnie musi polegać potęga Grelvi, której lądowcy tak bardzo się obawiali. Cała ich egzystencja zależała od morza. Jeśli Grelvi potrafili wymieść wody do czysta ze wszystkich żywych stworzeń, nie byłoby ryb wpadających w sieci, pastwisk dla pokrytych łuskami stad, ani roślin na morskich polach farmerów. Lądowcy głodowaliby i umierali.

Płynął dalej, pozwalając jednostce napędowej wykonywać większą część roboty, tak że mógł oszczędzać swoje własne siły i kluczowo istotne zapasy tlenu. Nie wiedział, jak dużo czasu zajmie mu ta misja. Nie wiedział nawet, czy Grelvi oddychali powietrzem, w jaki sposób żyli, ani w jaki sposób miał się z nimi skomunikować.

Niewątpliwie, wszystkiego dowie się z czasem – jeśli pozwolą mu na tyle długo przeżyć.

Wypłynął już poza obszar, który przebadał z Trubym. Zaczął napotykać rafy o fantastycznym kształcie i ubarwieniu, niektóre z nich wyrastały jak ściany z dna oceanu, strzelając prosto w górę, aż ponad powierzchnię wody. Inne niewiele wystawały nad poziom otaczających ich ławic piasku, albo po prostu stały to tu, to tam, przypominając zamki, jakieś dziwaczne zwierzęta, czy po prostu abstrakcyjne kształty.

Nagle, za ostrą jak nożem uciął linią, znowu rozpoczęła się strefa życia.

W świetle jego lampy zaświeciły się jasne, żywe kolory mchu i wodorostów. Nagie rafy ubrane były w purpury, brązy i złoto falujących zarośli. Ogromne oczy spoglądały na niego ze błyszczącym zdumieniem, czasami pojedynczymi parami, a czasami od razu całymi setkami.

Otaczały go nieustanne błyski i lśnienia poruszających się ciał, podpływających, zawracających i znikających.

Kerrick płynął dalej, pokonując teraz swą drogę wolniej i bardziej ostrożnie, pomiędzy zwałami raf i skał.

Po chwili zauważył, że o ile wodorosty i mchy ciągle rosły bujnie, poruszające się żywe stworzenia znowu gdzieś zniknęły.

Wyłączył jednostkę napędową i dryfował w leniwym strumieniu wody, rozglądając się uważnie na boki. Niczego nie widział, a jednak opanował go dziwny niepokój.

Rafy, skały i wodorosty, poza tym puste i milczące, ciemne wody. Kerrick pomyślał, że wszystko co się rusza musiało przemieścić się poza krąg światła jego lampy.

Niepokój szybko zmienił się w przeraźliwy strach.

Opanował go. Nie było już możliwości ucieczki i dobrze o tym wiedział. A więc zamiast zrobić jakąś z rzeczy, które przerażenie wciskało mu do głowy, to znaczy rzucić się do szaleńczej ucieczki, albo popłynąć na powierzchnię i dalej na jakiś skrawek suchego lądu, zmusił się do spokojnego opadnięcia na kawałek czystego piasku, utrzymując równowagę przy pomocy płynnych leciutkich podskoków i skłonów, jak groteskowy tancerz baletowy. Odłożył włócznię elektryczną i wyjął zza pasa sznur z ciężarkami Thane'a, trzymając go w uniesionej do góry ręce.

I czekał.

Gdzieś w górze, ponad głową, dostrzegł nieokreślony ruch i zawirowanie. Jakiś wielki złoty kształt, szybki, potężny, przerażający i wspaniały, przeciął wodę w tumanie srebrzystych bąbelków, przemknął koło niego i zniknął. Turbulencja wody i bezwładność jego własnego instynktownego uniku, spowodowały, że Kerrick zaczął bezładnie się obracać. Kiedy odzyskał równowagę, zdał sobie sprawę, że sznur Thane'a również zniknął.

Ponownie więc stał i czekał.

Nagle, w jednej chwili rozbłysło światło, znacznie silniejsze niż dawała jego lampa. Oświetliło ono cały obszar, na którym stał, tak jasne jak małe słońce.

Zmusił się by powoli i równo oddychać, odliczając. Jeden, dwa. Wdech, wydech. Na krawędziach zalanego światłem obszaru, z łagodnym wdziękiem falowały wodorosty. Jego ciało również falowało, poddając się potężnemu rytmowi morza. Jeden, dwa. Wdech, wydech. Ale nic się nie działo, nic się nie pojawiało.

A potem ich zobaczył.

Była ich dwójka. Gdzieś pewnie musiał być jeszcze trzeci, ten ze światłem, chyba że lampa po prostu leżała na jakiejś skale. W każdym bądź razie, Kerrick widział tylko tę dwójkę. Płynęli w jego stronę przez jasno oświetloną wodę, ich ciała lśniły złotym kolorem. Generalnie mieli ludzkie kształty, poza tym, że ich dłonie i stopy były zmodyfikowane, aby ułatwiać pływanie, oraz poza tym, że musieli mieć pełne dziewięć stóp

wysokości. Byli smukli i gibcy, ale wyglądali na straszliwie silnych. Ewidentnie raczej oddychali powietrzem i byli ciepłokrwiści. Spoglądali na Kerricka dużymi, błyszczącymi czernią oczyma, pełnymi bystrej, lecz całkowicie obcej inteligencji. Czekający w miejscu Kerrick lekko się wzdrygnął, jakby po plecach przejechało mu coś zimnego.

Jeden z Grelvi trzymał w ręku sznur Thane'a.

Kerrick uniósł ręce do góry, aby pokazać, że nie trzyma w nich broni. Grelvi również nie mieli jej w dłoniach, chociaż podejrzewał, że metalowe rury przy pasach – były to jedyne fragmenty odzieży na ich gładkich złotych futrach – pewnie zawierały całkiem skuteczne uzbrojenie. Przeciwko niemu nie było jednak im potrzebne. Bez trudu mogli rozerwać go na strzępy swymi długimi, połączonymi błoną palcami.

Zbliżyli się szybko z obu stron, obejmując go ramionami, a mięśnie Kerricka wzdrygnęły się przy tym kontakcie z obcymi. Ponownie nieomal ogarnęła go panika, ale zanim zdążył w ogóle pomyśleć o strachu, pomknęli w górę, w stronę powierzchni, z szybkością która oszołomiła go lekko na skutek naporu wody. Wynurzyli się w chmurze rozpylonej wody i piany, a Grelvi wydmuchnęli jej resztki jak foki. Jeden z nich przemówił potężnym głębokim głosem, który zahuczał w uszach Kerricka jak głos samego morza.

— Dlaczego przypłynąłeś tu do nas, przynosząc ze sobą broń Thane'a?

Kerrick wypluł ustnik aparatu oddechowego z ust i odpowiedział im w tej samej mowie wenusjańskich lądowców, której użyli oni, a która była mu równie obca, jak i Grelvi.

— Dał mi ją jako znak rozpoznawczy, ponieważ nosi ona jego pieczęć. Przynoszę wiadomość od Thane'a.

Zawirowali i zakręcili się w purpurowej wodzie, jak wielkie złote ryby.

— Co to za wiadomość?

— Thane jest więźniem w fortecy Prawodawcy.

Grelvi zesztywnieli i wydali z siebie głębokie westchnienia gniewu i smutku. Potem krótko rozmawiali między sobą, w swoim własnym języku, aż w końcu odezwali się do Kerricka:

— Chodź z nami.

Znowu chwycili go z obu stron i ledwie zdążył włożyć z powrotem ustnik, kiedy pomknęli z nim pośrodku, pozostawiając za sobą długie ślady fosforyzującej piany. Teoretycznie płynęli na powierzchni, ale równie często byli pod wodą co i nad nią i żadne ludzkie płuca, nawet o największej pojemności, bez wspomagania nie mogły się równać z ich płucami. Podobnie ludzkie kształty Kerricka nie mogły się równać z ich, jeśli chodzi o szybkość i siłę. Pozwolił im się holować. Wyglądało to, jakby ciągnęły go dwa potężne ślizgacze, tyle że nie było słychać hałasu silnika, a jedynie szum rozcinanej wody. Po kilku chwilach, wbrew sobie, zaczął się cieszyć tą przejażdżką.

Po pewnym czasie wysunęli się mocno z wody, aby wypełnić płuca przed długim zanurzeniem. Kerrick rzucił po raz ostatni okiem na powierzchnię wody, jak zwykle okrytą kotarą mgły, a potem Grelvi zanurkowali, schodząc stopniowo po skosie coraz głebiej i głębiej, zmierzając w miejsce, gdzie na dnie morza widać było światło, jasne i

wyraźne, jak zatopiona gwiazda. Światło umieszczone było u stóp wielkiej ciemnej ściany wypełniającej cały podwodny horyzont – ogromna rafa, pomyślał sobie Kerrick i poczuł, że serce wali mu ze strachu i emocji. Grelvi pędzili prosto ku światłu i wpłynęli koło niego do szerokiego tunelu, wzdłuż którego wisiały lampki wskazujące umiejscowienie ścian. Dla Kerricka światełka te śmignęły tylko, rozmywając się w szalonym pędzie, a potem Grelvi ponownie wypłynęli na powierzchnię i stwierdził, że znaleźli się w jakimś szerokim, kolistym, zalanym światłem miejscu, tak pięknym i dziwnym, że Kerrick przyglądając się mu, zupełnie zapomniał o swym strachu.

Woda jaśniała, jakby podświetlona od dołu, tworząc jasny krąg, leciutko tylko zasnuty mgiełką. Wszędzie dokoła wyrastały rafy, jak potężne mury ogromnego zamku, o jakim żaden człowiek z Ziemi nawet nigdy nie marzył. Zerodowane, wyrzeźbione przez wiatr skały, przybierały formę blanków, wieżyczek i iglic, zbyt fantastycznych by mogły zrodzić się w głowie jakiegoś architekta-człowieka. Przez wszystkie mury i blanki przebijało światło, wylewające się z pełnych okien galerii i spod wysokich łuków. Słychać było odgłosy śmiechu i muzyki, która w żaden sposób nie była ludzka.

Grelvi wpłynęli z Kerrickiem na wznoszący się płasko występ skalny, wychodzący w górę, nad wodę. Otrząsnęli się z wody, a Kerrick zdjął maskę i aparat oddechowy, oraz zrzucił kopnięciem płetwy, które na lądzie były śmieszne i niezdarne. Poprowadzili go występem w górę i dalej przez wysokie jasne przejście, prowadzące w miejsce, wyglądające trochę jak jaskinia, trochę jak przedpokój. Pod jedną ze ścian leżał schludnie poukładany zestaw do nurkowania. Oczywiście, Thane’a. Poczekali chwilę, aż zdjął z siebie własną uprząż i położył ją koło tamtej.

Potem poprowadzili go korytarzem, do ogromnej jaskini, powiększonej jeszcze i ukształtowanej przy pomocy pracy rąk, z długą galerią okien otwierających się na lagunę. Było tam wielu Grelvi, zarówno mężczyzn jak i kobiet, rozmawiających w atmosferze napięcia i emocji, słuchających wysokiej, złotej dziewczyny śpiewającej do wtóru ochrypłych, dzikich fletów, piosenkę równie gwałtowną i piękną jak rozgniewane morze.

— Ona śpiewa o dawnych bitwach — oznajmiła Kerrickowi jego eskorta, — oraz o nowych, które mają odbyć się w przyszłości.

W wodzie Grelvi wyglądali jak stworzenia zrodzone dla morza, ale na lądzie nabierali cech ludzkich. Nosili ubrania z jasnego materiału i zdobili je perłami, opalizującymi kamieniami księżycowymi oraz ornamentami z morskiej kości słoniowej. Kobiety były wspaniałe, jeśli ktoś zdołałby przywyknąć do ich dziwnie nieludzkich twarzy, ale Kerrick pomyślał sobie, że każdego Ziemianina takie ogromne złote Junony przeraziłyby na śmierć.

On przynajmniej był wystraszony. Wystraszony nimi wszystkimi. Czuł się mały, mokry i zupełnie nie na miejscu, stojąc w spodenkach i świecąc

swą gołą białą skórą, podczas gdy wszyscy zaczęli się w niego wpatrywać oraz wstawać i podchodzić, zaś śpiew ucichł.

Podniósł się ogromny zgiełk huczących i ryczących głosów Grelvi. Kerrick wychwycił powtórzone kilkakrotnie imię Thane'a a potem jakieś inne, które brzmiało jak „Zeehn". Coraz więcej Grelvi zaczęło napływać przez inne wejścia, aż jaskinia-komnata wypełniła się tłumem dziewięciostopowych ciał we wszystkich odcieniach złota od niemal-białego do czerwono-śniadego, a wszyscy spoglądali na Kerricka z góry, swymi obcymi czarnymi oczyma.

Jeden z jego eskorty nachylił się i powiedział:

— Będziesz mówił z Zeehnem, który jest naszym przywódcą,

Puścił Kerricka przodem do kolejnego korytarza, zaś cały tłum ruszył za nimi.

Korytarz kończył się gigantyczną komnatą, zajmującą chyba całą szerokość rafy. Zielonkawo-czarny, poznaczony żyłami kamień na jej ścianach został wypolerowany do gładkości lustra. Ułożony był w regularne panele z symbolami z wytłaczanego złota, tak że to miejsce miało wygląd powagi i splendoru. W jednym końcu komnaty na wysokim reliefie wyrzeźbiona była ogromna, skręcona postać, którą Kerrick uznał za symbol oceanu, rozkładająca wielkie ramiona, jakby w geście objęcia i ochrony. Pomiędzy tymi ramionami znajdowała się kamienna płyta – jednocześnie królewski stół i ołtarz, jak pomyślał Kerrick, i w oczywisty sposób bardzo starożytny. Pośrodku tego stołu, zbudowano z białych kamieni ładną, małą wysepkę, wraz z towarzyszącymi jej rafami, otoczoną przez koncentryczne kręgi popiołu.

Wyspa 10.

Wokół stołu siedziało siedmiu Grelvi, planując, rysując palcami w popiele linie podejścia i ataku. Przerwali gdy do komnaty wszedł Kerrick wraz z towarzyszącym mu tłumem. Sześciu z nich Kerrick obrzucił tylko spojrzeniem i o nich zapomniał.

Siódmym był Zeehn.

Wszyscy Grelvi wyglądali jak królowie i królowe. Zeehn wyglądał jak bóg. Był ciągle silny i energiczny, ale jego śniade futro przyprószone było bielą, zaś w oczach widoczna była głęboka mądrość. Kerrickowi przyszło do głowy słowo „szlachetny". Zeehn miał naprawdę szlachetny wygląd i Kerrick pomyślał, że kiedy ktoś taki zdecyduje się już na zniszczenie czegoś, to będzie szlachetny, ale również bezwzględny i straszny jak tajfun.

Nastąpiła kolejna wymiana zdań, potężnymi, pełnymi pasji głosami morskiego ludu. Zeehn przysłuchiwał się jej, ogromnie zamyślony nad małą kamienną wysepką, reprezentującą życie stu dwudziestu czterech ludzi, spoglądając twardo na Kerricka. Kiedy zgiełk ucichł, powiedział tylko:

— Mów.

I Kerrick zaczął mówić. Ludzki głos, po organowych akordach głosów Grelvi, nawet w jego uszach brzmiał cienko i śmiesznie.

— To była cała wiadomość — zakończył. — „Powiedz Grelvi, gdzie jestem”. I właśnie wam ją przekazałem. Teraz jeszcze mam dla was swą własną wiadomość.

Jeden z doradców zaczął coś mówić, ale Zeehn uniósł rękę.

— Słuchamy, Ziemianinie.

Kerrick wskazał ręką na małą wyspę, odizolowaną pierścieniami popiołu.

— Ludzie na Wyspie 10 są podobni do mnie. Oni nie są odpowiedzialni za naruszenie waszych granic i nic nie zyskacie jeśli ich zabijecie.

Wśród Grelvi podniósł się huczący szmer, ponieważ ci, którzy rozumieli język lądowców, tłumaczyli jego słowa pozostałym.

Powoli Zeehn pokręcił swą potężną złotą głową.

— Są intruzami. Muszą zginąć. Tak jak ty byś zginął natychmiast, gdybyś nie był posłańcem Thane’a. Tak jak ty, możesz ciągle jeszcze zginąć.

— No cóż — odparł Kerrick, — a co z Thanem? Co on by powiedział na wasz atak na Wyspę 10?

— Thane jest naszym przyjacielem i bratem. Jest jednym z nas. Nie jest jednak naszym wodzem i nie podejmuje za nas decyzji. Zniszczymy wyspę jutro o zmierzchu, jeśli do tego czasu jej nie opuścicie.

— I — dorzucił Kerrick, — zanim jeszcze ta noc się zakończy, wasz przyjaciel i brat, Thane, zginie.

Serce waliło mu jak młotem, a głos był na granicy okazania zdradzieckiego drżenia, ale spoglądał w oczy władcy Grelvi tak śmiało jak tylko potrafił.

Zeehn nachylił się do przodu.

— W jaki sposób i dlaczego?

— Prawodawca trzyma go jako zakładnika, na wypadek waszych działań — odparł Kerrick.

Nie miał pojęcia, czy była to prawda, ale było to zupełnie możliwe, a nawet jeśli obecnie tak nie było, to jego słowa mogły stać się prawdą w każdej chwili. Spanikowani ludzie, bez trudu mogli zabić Thane’a w odwecie za jakiś atak Grelvi. W każdym bądź razie był to jedyny atut jaki miał, i musiał go wykorzystać.

— Jeżeli uderzycie na Wyspę 10, to zabijecie Thane’a, a nawet nie tkniecie swoich prawdziwych wrogów, którymi są Prawodawca i Ziemianin Welker. Ci dwaj będą trzymali ze sobą, dopóki nie pożrą was, tak jak pożarli swoich własnych rodaków – chyba że będziecie z nimi walczyli mądrością i sprytem, a nie tylko odwagą.

Kilku doradców i znaczna liczba szeregowych Grelvi ryknęła w tej chwili na Zeehna, radząc mu zabić natychmiast to stworzenie i zająć się dalszą pracą nad planami ataku na wyspę.

— On chce tylko ocalić życie swych kompanów!

— Czyli, jak się wydaje, zrobić więcej niż chcecie zrobić wy! — zawołał gorąco Kerrick. — Thane poszedł do Prawodawcy, aby walczyć o wasze

prawa i z tego właśnie powodu jest teraz więźniem. Pomimo tego, wy tak niewiele dbacie o swego „brata”, że nawet nie pomyślicie o tym, jak można by go ocalić!

Kerrickowi udało się wykrzesać całkiem sporo energii nie tylko w stosunku do Thane’a i Wyspy 10, ale także do siebie samego.

— Jeżeli macie taką ochotę do walki, to czemu zamiast na małą samotną wysepkę nie uderzycie w głowę tej hydry, co przyniosłoby wiele dobrego. Kiedy Grelvi po raz ostatni wyściubili nos poza granice swoich raf?

To pytanie kompletnie zaskoczyła Zeehna.

— Zanim te granice zostały wytyczone.

— Od tego czasu wiele się wydarzyło. Czy Thane wam nic nie mówił?

— Mówił nam o wielu sprawach — przyznał Zeehn. — O planetach innych niż ta, innych ludziach – wiele rzeczy. Nasi mędrcy zapisali to wszystko w księgach. Te sprawy są bardzo interesujące, ale nie wpływają na nasze życie.

— Och, ależ oczywiście, że wpływają — odparł Kerrick. — Wodzowie ludzi na tych innych planetach stworzyli prawa, które chronią was dokładnie przed tym, co się tutaj dzieje. Kierownictwo Kompanii – szefowie Welkera – jest daleko stąd, na Ziemi, ale może go kontrolować. W jednej chwili mogą go powstrzymać przed najazdem na wasze ziemie, na Wyspie 10, czy gdziekolwiek indziej. A gdyby nie chcieli słuchać, nad nimi są władze, które zmuszą ich do tego, aby słuchali. Wszystko to wymaga tylko przedstawienia jakichś dowodów waszych pradawnych roszczeń do tych mórz, i wysłania jednej wiadomości przez kosmos, na Ziemię.

— Dowody mamy — cicho oznajmił Zeehn. — Jaki masz plan?

— Wydostańcie Thane’a z fortecy, a potem połączcie się z lądowcami, którzy mają mniej więcej podobne ja wy powody, do tego by zmusić Prawodawcę i resztę Sulvini do zawarcia nowych traktatów i przestrzegania ich. A ja prześlę wiadomość na Ziemię.

Mógłby to zrobić, gdyby tylko Grelvi i zwykli mieszkańcy lądu – partia Donavela – urośli w siłę. Prawodawca i jego strażnicy, nie byliby w stanie dłużej cenzorować i kontrolować całej komunikacji z zewnętrznym światem. A to, co powiedział Zeehnowi o obowiązującym prawie, było prawdą. Kodeks Międzyplanetarny wymagał, aby cała działalność na innych planetach, prowadzona była zgodnie z dokładnymi regulacjami prawnymi i z pełnym poszanowaniem praw włączonych w ten proces rodzimych ludów.

Welker i Prawodawca działali w zgodzie z kodeksem, ponieważ Prawodawca rościł sobie prawa do Wyspy 10 i dlatego mógł ją wydzierżawić. Jeśli Grelvi wystąpiliby ze swoimi roszczeniami, cała sprawa musiałaby zostać dokładnie zbadana i każde naruszenie ich praw sprowadziłoby gromy na głowy odpowiedzialnych za to ludzi. A już szczególnie Welkera. Kerrick specjalnie by z tego powodu nie rozpaczał. Był przekonany, że tam na wyspie, to człowiek Welkera nacisnął włącznik frakcjonatora.

Czekał na odpowiedź.

Rozległ się kolejny ryk protestu, może nie aż tak głośny jak pierwszy. Ktoś wrzasnął:

— Jak możemy zaufać temu obcemu? Czy nie okłamuje nas i nie poprowadzi w pułapkę?

Dziwne, mądre oczy Zeehna, zapłonęły bardzo zimnym blaskiem.

— Jako gwarancję mamy jego i jego życie.

Wyciągnął masywną dłoń i rozrzucił kamyki na stole, reprezentujące małą wyspę. Potem powstał.

— Uratujemy Thane'a. Będzie tak, jak za dawnych lat, kiedy nasi ojcowie przyprawiali Sulvini o dreszcz strachu. Potem, zobaczymy co zrobić. Być może Ziemianie okażą się dobrzy. W każdym razie, na zabijanie, zawsze jest czas.

I godzinę później byli już w drodze.

VII

Czas po tych wydarzeniach stał się dla Kerricka zawrotną mieszaniną koszmaru i szalonego, wspaniałego snu.

Płynął z Grelvi. Ich linia była podzielona na dwa długie, stopniowo rozchodzące się skrzydła. Klin z Zeehnem na wierzchołku, w najbardziej honorowym miejscu. Rozcinali nocny ocean, jak ostrze potężnej włóczni, zostawiając za sobą wzburzoną pianę ognistej fosforescencji i rozfalowane wodorosty. Ci sami dwaj mężczyźni, którzy sprowadzili Kerricka do miasta w rafie, dalej byli za niego odpowiedzialni i trzymali się z nim tuż za Zahnem.

O świcie, kiedy rozproszone promienie słoneczne zaczęły się przesączać przez warstwy chmur, jak deszcz miękkiego światła, Grelvi dotarli do wyspy z łagodnie opadającymi plażami i płytkimi zatokami, zawalonymi różnokolorową wodną roślinnością. Tutaj szyk się rozproszył, niektórzy z Grelvi pozostali w wodzie, rozciągając się w szeroki półokrąg, podczas gdy inni pomknęli na wyspę.

Ludzie pilnujący Kerricka, czekając po cichu w wodzie, drżeli z emocji. Jeden z nich wyszeptał:

— Uważaj teraz… i bądź gotów…

Kiedy Grelvi zbliżyli się do wyspy, z wodorostów wystrzeliły dziwne latające ryby. Wzdłuż całej plaży nastąpiło ogromne poruszenie, pochrząkiwania i ryki, a Kerrick zobaczył przesuwające się ciężko po piasku wielkie ciała. Po chwili zorientował się, że to była kolonia wenusjańskich słoni morskich, ziemnowodnych zwierząt o wielkości niemal połowy wieloryba.

— Teraz uważaj — wyszeptał Grelvi za nim. — Masz, weź to i trzymaj się blisko nas.

Podał Kerrickowi do ręki jedną z niewielkich metalowych rur, które nosili wszyscy Grelvi, i pokazał mu jak przesunąć włącznik – w pozycję

pierwszą by otrzymać światło, w drugą aby sparaliżować, w trzecią aby zabić. Kerrick wspomniał olejowo-drzewne pochodnie, których ciągle używano na lądzie i pomyślał sobie, że to już najwyższy czas, by Grelvi wyszli spoza swoich raf i podzielili się trochę swą wiedzą.

Na wyspie podniósł się ryk i wycie ogromnych zwierząt, narastając w potężnym crescendo alarmu. Nagle na obu krańcach zakrzywiającej się plaży, z wodorostów wyłonili się złociści Grelvi, wyskoczyli na ląd i szybko oskrzydlili stado, wykrzykując przy tym ochrypłe, niesamowite okrzyki.

Mężczyzna koło Kerricka roześmiał się.

— Usłyszały — powiedział — i zrozumiały, ale nie podoba im się to, że muszą kogoś słuchać. Rozleniwiły się, wielgusy jedne.

Wielkie stworzenia zaczęły niechętnie poruszać się, długim, nierównym szeregiem, przeciągając się ociężale po piasku w stronę wody.

Grelvi biegli razem z nimi, pokrzykując i poklepując je po olbrzymich szarych bokach.

Ociężałe przesuwanie się uległo przyśpieszeniu, zmieniając się w urywany, niezgrabny galop. Głosy Grelvi przebijały się jak sygnały rogów przez donośne porykiwanie. Ogromne cielska zaczęły rozpryskiwać wodę, wzbijając w górę fontanny piany i kropel wody, rozrywając wodorosty. Pięćdziesiąt, sto, dwieście – ich ciała pokryły całą plażę, płytka zatoka zmieniła się w tuman kłębiącej się piany, a po morzu niósł się odgłos podobny do grzmotu.

Stado wyszło poza zatokę.

— Teraz! — krzyknął człowiek koło Kerricka. — Nie pozwól im się rozproszyć – *hai*!

Z tumanu kłębiących się kropel wody wychynął wielki szary pysk, o przerażonych ochach, z oburzoną rozdziawioną paszczą. Człowiek znowu coś krzyknął do Kerricka, ale ten nie usłyszał słów, a woda wszędzie wypełniła się potężnymi łbami i przetaczającymi się ogromnymi cielskami. Zobaczył rozbłyskujące wzdłuż całej linii światła i zapalił także swoje. Niektóre ze stworzeń zaczęły mrugać i wycofywać się, ale inne były bardziej uparte. Potężni Grelvi śmigali wzdłuż boków stada, z wielką radością, poklepując zwierzęta rękoma i wykrzykując. Kerrickowi nie wydawało się, aby był dostatecznie duży i szybki, do tego rodzaju pracy. W pewnej chwili ruszył na niego z bulgotem wielki, niesamowicie rozgniewany byk, zdeterminowany aby przerwać linię. Kerrick przesunął włącznik na pozycję drugą i wycelował niewidoczny teraz promień, prosto w masywną kość czołową stworzenia.

Byk wydał z siebie coś w rodzaju chrząknięcia, przetoczył się o pół obrotu, przez chwilę leżąc nieruchomo, a następnie powoli popłynął z powrotem do stada.

Grelvi, którzy wyszli na plażę, przyłączyli się do pozostałych i stado zostało utrzymane w grupie, oraz poprowadzone na otwarte morze.

Przez cały ten dzień Grelvi pędzili kolosalne bestie i po południu dotarli do pływającego obozu zwykłych morskich pasterzy z głównego

lądu. Kiedy Grelvi ich mijali, ludzie padli na swojej tratwie na brzuchy i zakryli twarze.

Pomknęli dalej, w kierunku wyspy, na której stała forteca Prawodawcy.

Mijali morskich farmerów zajmujących się pływającymi polami jadalnych roślin. Potężne stado rozproszyło pola, a farmerzy musieli uciekać na morze w swych niewielkich łódkach, nie chcąc brać udziału w tym co miało się wydarzyć na wyspie.

Przeszli w pobliżu floty rybackiej, łowiącej na morzu. Rybacy także uciekli. Zeehn powiedział do Kerricka:

— Wszyscy oni są daleko poza terenami jakie poprzednio zajmowali. Czy to przez Ziemian?

Kerrick odparł:

— Obawiam się, że tak.

Omijali małe wyspy, na których znajdowały się instalacje wydobywcze górnictwa morskiego. Grelvi nie chcieli, żeby wieści o podjętej przez nich wyprawie ich wyprzedziły i rozumieli, że Ziemianie mogliby je bez trudu rozesłać. Pomimo tego widzieli jednak jak oceaniczne prądy zostały skażone i zamulone, widzieli ginące wodorosty i ucieczkę wszystkich podwodnych stworzeń.

Zeehn oświadczył:

— Nieważne co mówi Thane. Myślę, że jednak pozabijamy was wszystkich. To jest ohydne.

Kerrick powiedział:

— Ocean jest strasznie wielki i nie wydaje mi się, by lądowcy mieli coś przeciwko temu co się dzieje, gdyby tylko coś z tego mieli. Szkoły, szpitale, lepsze życie. Ale wszystkie korzyści zagarniają Sulvini, a tamci nie dostają nic.

Zeehn chrząknął. Stado jęczało i protestowało potężnymi rykami przeciwko paskudnemu smakowi wody. Grelvi uważali podobnie. Ale kontynuowali swoją wyprawę.

Zapadła noc i przed sobą, w zbierającej się mgle, dostrzegli przyćmione iskierki świateł.

Przez szeregi Grelvi przeszło gwałtowne westchnienie i tempo jeszcze uległo zwiększeniu. Poganiali stado coraz szybciej i szybciej, ponaglając morskie słonie dziwnymi okrzykami, które zdawały się jakoś przekazywać wielkim bestiom konieczność pośpiechu, tak że zaczęły one przebijać się przez wodę tak energicznie, jak gdyby od tego zależało ich życie. Poruszały się coraz szybciej, a Grelvi podążali za nimi. Kerrick walcząc z otumaniającą sennością, zauważył, że krzyki Grelvi uległy subtelnej zmianie, przekazując stadu konieczność już nie tylko pośpiechu, ale czystej paniki.

W tej chwili tempo ich poruszania było już tak wysokie, że zupełnie oślepiało i oszałamiało Kerricka. Jego dwóch strażników holowało go jak poprzednio, i kiedy wynurzali się mocno nad wodę, widział przed sobą ogromny chaos pędzącego stada, pióropusze piany, ogromne szare grzbiety mknące przez morze jak fala przypływu, a kiedy byli pod jej powierzchnią czuł tylko ciemny napór wody, grożący wyrwaniem mu z ust aparatu oddechowego i zdarciem uprzęży z ciała. Nie bał się jednak. Ruch,

okrzyki, gwałtowny bieg stada, wszystko to wypełniło go szaleńczymi podekscytowaniem.

W ciemnościach purpurowej nocy wyłonił się przed nimi cień wielkiego wzgórza i port. Światła płonęły jasnym blaskiem we mgle. Kerrick widział wyraźnie dwie ostrogi portu, izolowaną plamę światła, pochodzącą z siedziby Jones & Lansing, małe statki rzucające się gwałtownie na cumach, kiedy spokojna woda została wzburzona przez wir zbliżającego się stada. Przez chmury rozpylonej wody można było również dostrzec stłoczoną masę budynków w dzielnicy portowej i czarny kształt cytadeli wieńczącej szczyt wzgórza. Zastanawiał się, czy w tej chwili Lella była tam, na górze. Miał nadzieję, że tak. Ponieważ straszliwy ryk gigantycznego stada morskich stworzeń odbijał się już echem od brzegów wyspy. Wydawało mu się, jakby ten grzmiący odgłos pokrywał słabe krzyki ludzkiej paniki.

Potem uderzyli w plażę.

Szeregi morskich bestii szły szerokim łukiem do przodu, ciągle poganiane z tyłu przez Grelvi, którzy uniemożliwiali im poruszanie się w każdym innym kierunku niż przed siebie. Fala za falą morskich słoni docierała do brzegu, przedzierała się przez piasek i dalej przez nabrzeża, zalewając ulice. Zwierzęta były oszalałe ze strachu, którego nie rozumiały, zaś Grelvi nie pozwalali im nawet na chwilę spoczynku.

Kerrick znalazł się na stałym lądzie. Zaczął zdzierać z siebie maskę i uprząż. Jego strażnicy otrząsali ociekające wodą ciała, tuż za nim. Zobaczył, że wokół niego zebrała się zwarta grupa dziesięciu, może nieco więcej Grelvi. Jednym z nich był Zeehn.

— Idziemy — polecił Zeehn i Kerrick pobiegł razem z nimi, wyciągając ze wszystkich sił nogi, aby dotrzymać im kroku.

Cała wyprawa zmieniła się teraz bardziej w koszmar, niż sen.

Ognie pochodni wzdłuż nabrzeży zniknęły, zerwane i stratowane przez ogromne szalejące cielska. Okna i drzwi były porozbijane, posąg Obserwującego Boga przy falochronie, leżał przewrócony, wyciągnięte na plażę łodzie zupełnie zniknęły. Grelvi ciągle poganiali pędzące z rykiem przez ulice stado, zaś zebrani na wszystkich dachach ludzie krzyczeli, szlochali i błagali złotych panów morza o litość

Kerrick biegł z Zeehnem i jego grupą.

Minęli plac targowy zniszczony i porozbijany przez falę spłoszonych zwierząt i wpadli we wznoszące się coraz bardziej pod górę uliczki, prowadzące do ogrodów Sulvini. Stado było teraz już mocno zmęczone, a Prawodawca wysłał na dół z cytadeli oddział żołnierzy.

— Popędzać je, popędzać je! — zaryczał z całej siły Zeehn i Grelvi pogonili ogromne bestie przez ciemne ogrody, między chwiejącymi się od wstrząsów drzewami. Żołnierze mieli lance i proce, a paru z nich otrzymane od Ziemian karabiny. Rozlazła tyrania, pod rządami której ci ludzie żyli już od tak długiego czasu, nie była bardziej przychylna postępowi w wojskowości, niż w naukach pokojowych, a Sulvini woleli, aby

nawet ich właśni żołnierze nie stali się zbyt znaczącą siłą. Kerrick teraz zrozumiał w pełni, dlaczego Grelvi wykorzystali stado słoni morskich.

Karabiny od czasu do czasu zabijały któreś ze zwierząt, ale znacznie częściej tylko raniły, a lance i proce po prostu drażniły ogromne stworzenia, pobudzając je do jeszcze bardziej zabójczej furii. Nagle, wcale nie trzeba było ich popędzać. Zobaczyły przed sobą wroga, kogoś, kogo mogły zaatakować i ukarać za swą niedolę. Runęły więc do przodu, ich ryki zmieniły się w rodzaj świszczącego wrzasku. Wdarły się w szeregi żołnierzy, przedzierając się przez nie, rozbijając je, wdeptując je w ziemię, miażdżąc i odrzucając resztki ciał ludzi w powietrze, do tyłu, w stronę bram fortecy.

Teraz ruszyli Grelvi i przebiegli między morskimi stworzeniami, zostawiając je za sobą. Poruszali się znacznie szybciej niż uciekający żołnierze, nawet specjalnie się nie wysilając, złote cienie w niebieskiej nocy. Dopadli żołnierzy i zaczęli do nich strzelać z promieni oszałamiających, kładąc ich pokotem przed bramą.

— Do środka, przez bramę! — zawołał Zeehn i pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, stu złotych olbrzymów wlało się do fortecy, zabierając ze sobą Kerricka.

W fortecy nadal jeszcze byli żołnierze. Z zacienionych drzwi, okien i kolumnad, tworzących tylko rzędy ciemnych dziur w półmroku pochodni, zaczęły na nich lecieć lance i kamienie z proc. Paru Grelvi krzyknęło z bólu, inni upadli, ale nie zatrzymali się. Kerrick ciężko dysząc biegł razem z nimi przez dziedzińce zbudowane z antycznego omszałego kamienia, na górę, po szerokich schodach. Grelvi strzelali po drodze ze swej broni. Teraz ustawili ją już w trzecie położenie. Kiedy blade, rozbłyskujące promienie trafiały człowieka, ten upadał i już więcej nie wstawał.

U szczytu wielkich schodów znajdowało się gniazdo gwałtownego oporu. Kerrick walczył u boku Grelvi, używając broni, którą mu dali, ale zadowalając się promieniem paraliżującym. W dolną część żeber trafił go kamień, bolesne uderzenie, a tuż koło niego przeleciała lanca. Potem żołnierze z fortecy, pokonani w równiej mierze przez odwieczny strach przed Grelvi, jak i działanie ich lepszej broni, załamali się i uciekli. Walka się skończyła.

Zeehn i jego grupa szybko przedostali się do Sali Prawodawcy. Kerrick jednak poszedł z nimi tylko do drzwi.

W sali zebrała się znaczna liczba Sulvini, zarówno mężczyzn jak i kobiet. Widać było, że opuścili swoje wille w wielkim pośpiechu, aby schronić się w fortecy. Stali wielkim nieszczęśliwym tłumem, kobiety nieomal wpadały w histerię, mężczyźni byli zbyt tłuści i oszołomieni, aby mogli cokolwiek zrobić.

Na końcu sali, na swym wysokim tronie, siedział Prawodawca. Kerrick nigdy wcześniej go nie widział, ale wyrobił sobie w myślach obraz tego człowieka i nie był on błędny. Prawodawca był wielkim, robiącym wrażenie mężczyzną we wspaniałej szacie, noszącym czapkę wskazującą na swój urząd, jak koronę, której była ona tak naprawdę substytutem. Wyglądał dumnie i wyzywająco, jakby był gotów stawić czoła Grelvi. Jednak pod

tym imponującym wyglądem krył się miękki tłuszcz, pod maską dumy egoizm i chciwość, zaś wyzywające zachowanie skrywało strach.

Zeehn wystąpił do przodu. Tutaj to on jest naprawdę królewską postacią, pomyślał sobie Kerrick, rozglądając się pośpiesznie w poszukiwaniu Lelli, ale nigdzie jej nie dostrzegł.

Prawodawca przemówił:

— Jakim prawem zrywacie pokój i najeżdżacie moją ziemię?

Wielki głos Zeehna wypełnił całą salę.

— A jakim prawem ty dałeś moją ziemię Ziemianom? — Ponownie przesunął się do przodu, a Sulvini rozeszli się przed nim. — Czy już zapomniałeś o tablicach z kości słoniowej, które wyznaczyły granice praw do morza i ziemi na wsze czasy? Jeszcze się nie pokruszyły.

W odpowiedzi Prawodawca oznajmił:

— Nie będę dyskutował traktatów między nami, dopóki pozostajecie w moim mieście. Rozkaż swoim ludziom wrócić do morza, zabierając ze sobą swoje bestie, a wtedy zobaczymy, jak sprawy stoją.

Z potężnej klatki piersiowej Zeehna wydobył się jakiś dźwięk. Nie był to tak do końca śmiech.

— Zadaliśmy sobie sporo trudu, żeby tu się pojawić. Zostaniemy do czasu, aż załatwimy wszystkie sprawy.

— Odejdziecie — upierał się Prawodawca, a w jego głosie pojawiła się już wyraźna nuta histerii. — Macie zabrać swoje zwierzaki z miasta w ciągu godziny, albo Thane umrze. — Wstał z tronu. — Czy zrozumiałeś? Umieściłem go w miejscu, w którym go nie znajdziecie, nawet gdybyście rozebrali całą fortecę kamień po kamieniu. Za godzinę Thane zginie, chyba że osobiście przekażę wiadomość, aby go oszczędzić.

Kerrick popatrzył na swych strażników i skinął na nich głową. Wycofali się z wejścia do sali.

— Weźcie jeszcze paru ludzi — powiedział — i chodźmy.

— Dokąd? — spytał Grelvi z podejrzliwością w głosie.

— Musimy znaleźć komnaty kobiet. Córka Prawodawcy jest naszym przyjaciółką – przyjaciółką Thane'a. Będzie wiedziała, gdzie on jest.

Ruszył korytarzem, prowadząc za sobą czterech wysokich Grelvi. Jak trąba powietrzna wpadali do kolejnych komnat, otwierając drzwi. Na trzecim piętrze znaleźli jedną, która była zamknięta na klucz. Grelvi wyłamali drzwi do niej.

W komnacie była Lella, tak piękna jak to zapamiętał Kerrick, jedyna prawdziwie żywa istota pośród gromady, zupełnie rozklejonych szlochających i krzyczących kobiet. Drgnęła lekko na widok Grelvi, a po chwili podbiegła w ich stronę, wyciągając dłonie do Kerricka.

— Obserwowałam atak — przywitała go. — Trzymałam za was kciuki, zanim mój ojciec kazał mnie tutaj zamknąć. Cieszę się, że udało ci się bezpiecznie wrócić z Wyspy 10, *litharni*.

Na jej twarzy widać było oznaki napięcia. Chciał jej zadać całą masę pytań osobistych, ale zamiast tego zapytał:

— Twój ojciec zagroził śmiercią Thane'a. Wiesz może gdzie go trzyma?

— On by tego nie zrobił — odparła Lella, wykonując gest lekkiego szoku. — Nie mógłby tego zrobić naprawdę. On tylko tak mówi…

— Być może — stwierdził Kerrick. — Ale gdybym to ja był Thanem, wolałbym raczej nie ryzykować. Gdzie on jest?

— W ukrytych celach. Donavel i Verilan też tam są… — Narzuciła na siebie długi, jedwabny płaszcz i powiedziała: — Chodźcie ze mną.

Zamiast udać się na dół, jak tego oczekiwał Kerrick, poprowadziła ich do góry, krętymi schodami jednej z wież.

— To straszne miejsce jest na samym szczycie wieży. Pod dachem nie ma miejsca, żeby można było się wyprostować, poza częścią dla strażników. Światło i powietrze dochodzą jedynie przez niewielkie szczeliny. Ojciec umieścił tam Thane'a i pozostałych dokładnie w chwili, kiedy wylądowaliście na plaży. — Podała Kerrickowi drugi płaszcz. — Nakryj się tym na głowę i na całe ciało. Trzymaj broń pod ręką – będziesz musiał działać szybko. Twoi przyjaciele niech zostaną z tyłu, tak żeby ich nie było widać. Szybko!

Kerrick ruszył za nią na palcach po ostatnim zakręcie schodów. Grelvi zostali z tyłu.

Schody kończyły się okrągłym pustym pomieszczeniem, bardzo niskim, z wąskimi szczelinami zamiast okien. Nie było w nim żadnych mebli, poza kamienną ławą, na której mógł usiąść człowiek, pilnujący miasta. Każdy, kto przeszukiwałby fortecę, obrzuciłby je tylko szybko okiem i poszedł szukać dalej. Ale Lella weszła na ławę i zastukała trzykrotnie w płytę, z pozoru solidnego sufitu.

Kerrick stał za nią, spocony, cały skryty pod płaszczem, z bronią Grelvi w dłoni.

Lella zawołała:

— Otwórz – tu Lella, przyniosłam wiadomość od Prawodawcy.

Kamień został uniesiony w górę, najwyraźniej na jakichś dźwigniach i w otworze pojawiła się twarz człowieka.

— O co chodzi… — zaczął mówić kiedy Kerrick trafił go promieniem obezwładniającym.

Pół minuty później Grelvi wcisnęli się do małej, paskudnej dziury na górze, wyłamując głównie dzięki swej potężnej sile pręty klatek pod spadzistą częścią dachu, w których siedzieli Thane z jednej strony, oraz Donavel wraz ze swoim synem, z drugiej. Strażnik nie miał do nich kluczy. Miał za to długą, ostrą włócznię, która w takim miejscu mogłaby posłużyć tylko do jednego. Lella popatrzyła na nią, a jej twarz zrobiła się zupełnie biała i bardzo ponura. Wzięła Donavela wraz z synem na bok i zaczęła z nimi rozmawiać, podczas gdy Thane i Grelvi przeszli swój własny rytuał powitania.

Potem Thane zwrócił się do Kerricka:

— Wykonałeś świetną robotę dla wszystkich, poza tobą samym. Tej nocy, kiedy z niej uciekłeś, na Wyspie 10 było zabójstwo?

— Tak. Gonili mnie, i ktoś włączył próbny frakcjonator, a jakiś biedny człowiek dostał bezpośrednio całym ładunkiem.

— Prawodawca mocno się wystraszył, a wystraszeni ludzie lubią dużo mówić. Walker powiedział, że zabiłeś człowieka, ponieważ próbował cię powstrzymać przed ucieczką z wyspy. Tak to właśnie opisał w raporcie wysłanym przez siebie do Kompanii.

— Próbował mnie zdyskredytować, na wypadek gdybym wrócił od Grelvi, z jakimiś oskarżeniami przeciwko niemu — Kerrick zacisnął szczękę. — No cóż, ja również mam raport do wysłania dla Kompanii, a jeśli ty, Zeehn i Lella mnie poprzecie…

— W tej chwili będą problemy z wysłaniem stąd jakiegokolwiek raportu — oznajmił Thane.

— Dlaczego? Centrum łączności tu, w mieście…

— Zostało zniszczone ostatniej nocy – na polecenie Welkera. Obecnie radio jest więc tylko w siedzibie Kompanii, a Welker nie jest takim tłustym nieudolnym prostakiem, jak ci Sulvini. Bał się, że mogą pojawić się kłopoty i przygotował budynki kompanii do obrony tak dobrze, iż przy pomocy broni, jaką jesteśmy w stanie zdobyć – nawet Grelvi – nie mamy szansy dostania się do środka.

VIII

Było już rano. Miasto w tej chwili było już ciche i spokojne, na całym obszarze od fortecy do morza. Bitwa się skończyła, a prace nad likwidacją jej skutków, jeszcze nie rozpoczęły. W ciągu nocy stado morskich słoni zmęczone udało się z powrotem do morza.

Nadal jednak trwała walka. Obecnie toczyła się ona wokół siedziby Jones & Lansing, a tym razem z okrzykami ludzi i Grelvi mieszały się zjadliwe odgłosy potężnej nowoczesnej broni. Donavel opuścił fortecę zaraz po uwolnieniu, żeby poderwać swoją partię i namówić ich do raczej niełatwego sojuszu z wysokimi, złotymi ludźmi morza. Wspólnie zorganizowali hałaśliwy i niebezpieczny atak na budynki kompanii, ale karabiny, w które zaopatrzył się Welker, i ogrodzenia pod napięciem, zdołały ich powstrzymać.

— Musiał spodziewać się kłopotów — ponuro stwierdził Kerrick. — Zmienił to miejsce w prawdziwą twierdzę.

Stał na plaży pod miastem, daleko poza zasięgiem widoczności z siedziby kompanii. Thane pomagał mu założyć sprzęt do nurkowania.

— Prawodawca wiedział, że stoi w obliczu rewolty — odparł Thane. — Liczył na to, że Welker pomoże mu pod pretekstem ochrony własności Kompanii. Zawarli między sobą całkiem niezły układzik, gdyby to wszystko się udało.

Nie mogło to się już udać w przypadku Prawodawcy, który został usunięty ze stanowiska. Ale Welker mógł jeszcze wyjść z tego wszystkiego nietknięty, Wyspa 10 ciągle byłaby źródłem kłopotów, a oskarżenie przeciwko Kerrickowi o morderstwo zostałoby utrzymane, chyba że uda

mu się jakoś przebić ze swoim raportem, ponieważ tylko wtedy musiano by przeprowadzić szczegółowe dochodzenie.

I był tylko jeden sposób, aby tego dokonać.

Albo, być może, nie było żadnego sposobu.

Kerrick miał się wkrótce o tym przekonać.

Kiwnął głową w kierunku odgłosów walki.

— Cały czas zajmujcie ich uwagę, żeby pilnowali ogrodzeń — powiedział. — Mniej prawdopodobne, że wtedy nas spostrzegą.

Operacje wydobywcze z wody morskiej, jako że były w pełni automatyczne, mogły być prowadzone przez cały czas, niezależnie od tego, czy toczyła się walka, czy nie. Ale im bardziej personel Kompanii zajęty będzie innymi sprawami, tym lepiej dla szalonego planu Kerricka.

Thane skinął głową. Powiedział:

— Powodzenia.

Kerrick wsunął ustnik oraz założył maskę i wskoczył do wody, gdzie czekała na niego dwudziestka Grelvi.

Popłynęli razem, w większości pod wodą, w miejsce naprzeciwko siedziby kompanii i tuż na krawędzi obszaru oznaczonego szeregami czerwonych boi ostrzegawczych. Za bojami woda stawała się mulista i wzburzona, poruszała się w sposób podobny do kolosalnego prądu wciągającego odbitych fal morskich, tylko że jego kierunek prowadził w stronę brzegu, a nie od niego. Kończył się on w ogromnym piekle kotłującej się wody oraz wytrysków piany, w miejscu w którym głęboko pod powierzchnią znajdowały się potężne podwójne rury zasysaczy.

Część pracy Kerricka jako nurka, związana była z okazjonalnymi robotami naprawczymi, niezbędnymi do utrzymania zasysaczy. Wiedział więc, jak one działały. Wyjaśnił wszystko bardzo dokładnie Grelvi. Że normalnie pracowały razem, jako para i na połowie obciążenia. Że wielkie, zębate wirniki mechanizmów oczyszczających, wychwytywały wodorosty, której inaczej zapchałyby wloty zasysaczy, odrzucając je do bocznych kanałów, w których inne maszyny przesuwały je dalej, jako odpady. Wyjaśnił, że czasami zasysane były rzeczy zbyt duże i zbyt twarde, aby wirniki mogły dać sobie z nimi radę. Zapychały one wtedy wloty, co powodowało odłączenie na tej rurze całego zasilania przez automatyczne mechanizmy zabezpieczające, a następnie przełączenie drugiej na pełne obciążenie.

A kiedy się to wydarzyło, przez jeden z wielu włazów, w zależności od miejsca zapchania, wysyłany był nurek, który miał je oczyścić.

Grelvi z zainteresowaniem przysłuchiwali się jego wyjaśnieniem, a potem przedstawionemu przez niego planowi. Mieli sporo wątpliwości – nie odnośnie samego planu, czy ich zdolności do jego przeprowadzenia, ale co do niego. Wtedy oświadczył:

— No cóż, jeśli nawalę, to zawsze możecie zawrócić do morza.

I w ten sposób znaleźli się tutaj, na krawędzi mulistej kipieli. Grelvi wypłynęli na powierzchnię, nie wysuwając się mocno nad wodę i głęboko oddychając.

Potem wszyscy zanurkowali.

Jeszcze przed świtem przyholowane zostało tutaj i zatopione ciało jednego z zabitych w bitwie słoni morskich. Przymocowali je do dna przy pomocy sznurów i ciężkich kamieni. Teraz sznury zostały przecięte, a Grelvi zaparli się swymi potężnymi barkami i popchnęli ciężkie, unoszące się w wodzie cielsko, do przodu.

Kerrick czuł, że skraj prądu zaczyna go lekko wciągać. Padlina płynęła koło niego, unosząc się tuż nad dnem jak ohydny balon. Zaczęła poruszać się szybciej, przewracając się i przetaczając, aż w końcu pociągnął ją prąd, pochwycił i poniósł już dalej. Kerrick również został wciągnięty, zaczął wirować w oślepiającym tumanie mułu i wodorostów. Walczył z nurtem wody, ale prąd był silniejszy niż jakakolwiek siła, którą mógłby sobie wyobrazić. Stracił z oczu padlinę. Zgubił gdzieś Grelvi. Woda pędziła, ciągnąc go potężnie w stronę pochłaniających wszystko rur. Był zgubiony i zdawał sobie z tego sprawę. Wtedy jednak pochwyciły go silne ręce, a potężne ciała przyłączyły się do jego wysiłków, walcząc razem z nim z prądem. Przelotnie dostrzegł padlinę słonia morskiego, daleko z przodu, uniesioną przez wodę i zdającą się płynąć prosto w okrągłą gigantyczną paszczę, rozwartą i czekającą na jej pochłonięcie. Obracała się ciężko wokół siebie, na chwilę jakby się wahając w miejscu, gdzie prąd rozdzielał się na połowy. Potem ruszyła strumieniem po prawej stronie, wpłynęła do rury, znikając w niej całkowicie.

Kerrick gorączkowo machnął ręką na Grelvi, którzy go przytrzymywali. Zobaczył, że inni zebrali się już koło niego, płynąc razem w tym straszliwym prądzie. Skręcili w prawą stronę, śladem padliny. I nagle, jakby na pstryknięcie palcami, straszliwy ciąg prądu ustał. Pompy na Zasysaczu Nr 2 zostały wyłączone.

Kerrick i Grelvi ruszyli natychmiast, aby siła znacznie potężniejszego strumienia, który już zaczynał płynąć do Nr 1, nie pociągnęła ich za sobą. Wpłynęli do ogromnego tunelu wnętrza rury.

Kerrick znowu był na przedzie. Nie miał czasu na zastanawianie się, czy błędy. Grelvi, nawet przy ich niesamowitej pojemności płuc, nie mogli pozostawać pod wodą bez końca.

Pomknęli do przodu. Latarki Grelvi, oświetlające wodę, ukazywały białą, plastikonową krzywiznę ściany rury, a po kilku chwilach pierwszy z szeregu wirników, z ogromnym cielskiem martwego słonia morskiego, bezpiecznie go blokującym.

Minął padlinę, prześlizgując się pomiędzy wielkimi, nieruchomymi śmigłami wirnika, zimno połyskującymi w świetle latarek. Grelvi podążyli za nim, a jeden z nich zrównał się z nim i wykonał gest ponaglający go, aby się pośpieszył.

Popędził więc z pełną szybkością, niemalże śmigając między najeżonymi ostrymi stalowymi zębami śmigłami. Potem zobaczył oznaczenie na górnej części rury i rzucił się w jego kierunku. Aby zapewnić bezpieczeństwo nurkowi, urządzenie otwierające właz działało z obu stron.

Złapał za jego uchwyt i zaczął ciągnąć, a po chwili koło niego pojawiła się pokryta złotym futrem ręka i pomogła mu.

Minutę lub dwie później stali już w zamontowanym na rurze baraku technicznym. Grelvi otrząsali się z wody i wydmuchiwali ją jak wieloryby, Kerrick zaś zrzucił z siebie swój sprzęt i dziękował w myślach opatrzności boskiej, za to że jest z powrotem na otwartym powietrzu.

Dziedziniec fabryki był zupełnie pusty. Kerrick pomyślał sobie, że wszyscy ludzie muszą być przy ogrodzeniach, odpierając bardzo hałaśliwych napastników, którzy kontynuowali swój atak z niegasnącym wigorem. W chwili, kiedy wystrzały z broni stały się wyjątkowo głośnie, Kerrick machnął ręką na Grelvi i wszyscy puścili się biegiem do głównego budynku.

Po drodze spotkali tylko jednego człowieka, śpieszącego na, albo z pola walki, ale nie sprawił on im specjalnych kłopotów. Zatrzymał się w pół kroku, wpatrując się w złotych gigantów, którzy nagle pojawili się zza rogu, i kompletnie zapomniał o tym, że trzyma w ręku broń. Otworzył usta do krzyku, ale Kerrick postrzelił go z paralizatora Grelvi i pobiegł dalej.

Bitwa czy nie, w głównym budynku ktoś musiał być. Grupa rozdzieliła się na cztery zespoły, aby wedrzeć się do środka wszystkimi wejściami, zgodnie z planem Kerricka. Z pięciu Grelvi udał się do drzwi położonych najbliżej pomieszczenia łączności.

Były to glasytowe drzwi. Dostrzegł za nimi poruszający się cień, w samą porę, by wykrzyczeć ostrzeżenie i także rzucić się w bok. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i ktoś wystrzelił ze środka. Kule omiotły piachem twarz odtaczającego się Kerricka. Jeden z Grelvi zaryczał z tak straszliwie głośnym gniewem, że Kerrick pomyślał, iż chyba nie mógł mocno dostać. Potem strzały ucichły.

Zza drzwi zabrzmiał głos Welkera:

— Poddaj się, Kerrick, a puszczę twoich przyjaciół wolno. W przeciwnym razie…

— Do diabła z przeciwnym razem — wrzasnął Kerrick. — Prawodawca już próbował takich układów z Thanem jako zakładnikiem, i nie udało mu się. Wchodzimy do środka.

Krył się za jakimiś krzewami ozdobnymi, rosnącymi wokół budynku głównego Kompanii. Nie dawały one dostatecznej ochrony. Nie chciał jednak zabijać Welkera – będzie go potrzebował na potrzeby śledztwa. Z drugiej strony sam również nie miał zamiaru dać się zabić, nie chciał także aby zginął któryś z Grelvi. Ich broń miała za krótki zasięg do walki przeciwko karabinom. Poza tym teraz już w każdej chwili Welkera mogła zaatakować od środka jedna z grup, które dostały się do budynku innymi wejściami.

Przesunął uważnie spust swojej broni w trzecie położenie i zawołał przyciszonym głosem na Grelvi, żeby zostali tam gdzie są. Potem wycelował broń w duży, obsypany kwiatami krzak, rosnący jakieś dziesięć

stóp od drzwi, znajdujący się tuż na granicy zasięgu jej skutecznego ognia.

— Popatrz na to, Welker! — krzyknął. — Patrz tylko co Grelvi – te nieludzkie zwierzęta, jak ich niedawno pogardliwie określiłeś – potrafią zrobić! To właśnie w taki sposób zniszczyli wodorosty, tak by nie przeżyło żadne żywe stworzenie w morzu, czy na powierzchni wody. To właśnie w taki sposób odizolowali Wyspę 10. To właśnie w taki sposób zabiją ciebie i każdego człowieka, którego znajdą na terenie Kompanii. Nie dasz rady ich powstrzymać!

Ukwiecony krzew zaczął czernieć, schnąc, jego gałęzie opadły i umarł.

Nie zajęło to praktycznie nawet chwili czasu. A Welker obserwował. A przynajmniej w tym czasie nie strzelał. Kerrick próbował zajrzeć do pomieszczenia, jednak w środku było za ciemno. Światła musiały zostać pogaszone i w pozbawionym słońca wenusjańskim dniu, we wnętrzu budynku zapanował półmrok. Welker przyczaił się w środku gdzieś przy ścianie, niewidoczny z zewnątrz. Kerrick jednak nie wyglądał jego, tylko innych grup Grelvi.

W desperacji przesunął niewidzialny promień śmierci na kolejny krzew.

— Morze należy do nich, Welker! To oni je kontrolują i nie dasz rady im go ukraść. Widzisz?

Drugi krzew również poskręcał się i sczerniał.

W długiej, ciemnej sali dostrzegł kotłowaninę ciemnozłotych ciał.

Welker krzyknął.

Kerrick zerwał się na nogi i pobiegł prosto do drzwi, po drodze przesuwając spust broni z powrotem w drugie położenie. Zahuczał strzał, ale żaden pocisk go nie trafił, a po chwili był już w środku. Welker stał odwrócony plecami do niego, walcząc z Grelvi, którzy zaszli go od tyłu. Jeden z Grelvi właśnie padał do przodu, z majestatyczną powolnością, a tuż nad jego sercem na jasnym futrze powiększała się czerwona plama.

Kerrick nacisnął spust, otwierając ogień.

Welker sapnął, kiedy trafił go promień paraliżujący, a potem także upadł, tylko bez żadnej majestatyczności. Kerrick pochylił się nad nim i wyjął mu z ręki broń. Wydawało mu się, że nawet na nieprzytomnej twarzy Welkera zaczyna się pojawiać cień tragicznego zrozumienia.

— Związać go dobrze — polecił Grelvi. — I żeby mu włos nie spadł z głowy.

Posłuchali go, spokojnie przechodząc koło swego nie żyjącego towarzysza, ponieważ w tej chwili nie był to czas na opłakiwanie zmarłych.

— Teraz już — oznajmił im Kerrick, — nie sądzę, by ktoś zdołał nas powstrzymać przed wysłaniem tej wiadomości.

Wysłał ją, zaś Grelvi stali na straży koło pomieszczenia łączności, wystraszywszy wcześniej młodego operatora, tak mocno, że nie zgłaszał żadnych sprzeciwów i natychmiast wykonywał wszystkie polecenia. Potem Kerrick wysłał komunikat przez system łączności wewnętrznej Kompanii, żeby zaprzestać walki. Całkowicie zaskoczeni i oszołomieni ludzie

posłuchali go. W ciągu następnej godziny przygotowany został rozejm. Welkera zabrano do fortecy i zamknięto w bezpiecznym miejscu, a w morze wyszedł statek, który miał przywieźć z powrotem ludzi z Wyspy 10.

Koło wieczora, Kerrick siedział w wielkiej sali w fortecy, rozmawiając z Lellą, Thanem i Donavelem. Wysoki fotel był pusty. Prawodawca czasowo został uwięziony w swoich apartamentach i miał w nich pozostać do czasu, kiedy nie odpowie na pytania międzyplanetarnego komitetu dochodzeniowego, który był już w drodze na Wenus.

— Nie stanie mu się żadna krzywda — obiecał Lelli Donavel, — ale to tylko dzięki tobie. Był złym władcą.

— I także złym ojcem — przyznała Lella. — Tym niemniej, to jest mój ojciec i dlatego muszę go chronić. Kogo wybiorą na jego miejsce?

Thane wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A kto by miał to być, jeśli nie Donavel? Ujrzymy więc początek nowego cyklu. Twardzi pasterze i rybacy zastąpią Sulvini i sami staną się Sulvini.

Donavel pokręcił głową.

— Nigdy.

— Zapytaj swoich wnuków — powiedział Thane. — Nic na to nie poradzisz. Taki już jest świat.

— Och, daj spokój — przerwała mu Lella. — Pozwól mu się cieszyć triumfem. — Położyła dłoń na ramieniu Kerricka. — A co z tobą?

— Ze mną wszystko będzie w porządku — odparł, czując się dobrze i szczęśliwie z jej ręką na swoim ciele. — Paru Grelvi popłynęło na Wyspę 10. Znajdą człowieka wysłanego tam przez Welkera – tego, który naprawdę dokonał zabójstwa. Oni mają talent do tego rodzaju rzeczy. A mając jego zeznania przed komitetem, poparte przez tablice z kości słoniowej Grelvi, nie wydaje mi się żebyśmy musieli martwić się o tę całą sprawę.

— Chyba — powiedziała miękko Lella — po raz pierwszy, odkąd byłam dzieckiem, czuję się naprawdę szczęśliwa.

Nie odsunęła swej dłoni.

Przez okna od strony morza dobiegł odległy, głęboki rytmiczny śpiew.

— Posłuchajcie — powiedział Thane. — To idą Grelvi.

Podeszli do okna i popatrzyli ponad dachami miasta, na plażę. W niebieskim mroku wieczora zebrali się tam Grelvi. Od strony wody łagodnie unosiły się już wianuszki mgły. Grelvi nieśli na ramionach dziewięciu swych towarzyszy, którzy już nigdy nie staną do walki. Śpiewając szli w stronę morza, a potem zaczęli płynąć, coraz dalej i dalej. Złociści ludzie morza z gwiazdy porannej, wracali do domu.

KONIEC